

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 24 MARCA 1928 ROKU

NR 13

TREŚĆ NUMERU: Co przyniosły kobietom ostatnie wybory — *Natalja Jastrzębska* Duch nowego wychowania — *Bogdan Suchodolski*. Marja Weryho-Radziwiłłowiczowa — *J. W. Kosmowska*. Don Kiszot — *Stanisław Miłaszewski*. Most — *Felicja Kruszeuska*. Za ramą lustra (nowela) — *Herminj. Naglerowa*. Po Olimpijdzie w St. Moritz — *R. Z życia ekranu—Stef. H.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Uczciwość zawodowa — *W. D.* O kopaniu — *Stan. Schönfeld*. Urządzenie kuchni nowoczesnej — *J. S.* Na postne tematy — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i roboty: Pod znakiem wełny — *Well*. Kamizelka haftowana krzyżykami. Płaszcz wiosenny, ozdobiony aplikacją ze skórki. Dodatek powieściowy: „Murzyniátko” — *Winifred Sanford*—obrazek z życia murzynów amerykańskich—przekład *R. C. H.* Arkusz wzorów.

## CO PRZYNIOSŁY KOBIECIOM OSTATNIE WYBORY

Wybory do Sejmu stały się faktem dokonanym.

Różne partie polityczne różnie zapatrują się na przyszłość tego Sejmu, stosownie, rzecz prosta, do swych przekonań i... liczby uzyskanych mandatów. Szeroki ogół, niezbyt zaangażowany partyjnie, przyjął tę sprawę, musimy stwierdzić bezstronnie, z zadowoleniem ze spełnionego obowiązku i oczekiwaniem twórczej pracy nowego ciała prawodawczego.

Co będzie — czas pokaże. My zaś, oczekując na wynik działalności Sejmu, rzucmy okiem na sprawy, specjalnie nas obchodzące, i zastanówmy się nad tem, jaki jest rezultat wyborów dla sprawy kobiecej.

Mojem zdaniem — niezmiernie znamienity.

Na ogólną liczbę 444 posłów wybrano do Sejmu trzy wyraźnie — posłanki!

Weszły — w porządku alfabetycznym: Marja Jaworska z listy państwowej, Irena Kosmowska z „Wyzwolenia” i Aleksandra Ostrejko z Bezpartyjnego Bloku współpracy z rządem.

Ponieważ niektórzy posłowie, wybrani z dwóch, trzech, a nawet siedmiu okręgów, zrzekli się, naturalnie, odpowiedniej liczby mandatów, nadto część stronnictw uzyskała jeszcze mandaty z listy państwowej, — dzięki temu mają jeszcze znaleźć się w Sejmie: Zofja Praussowa z polskiej partji socjalistycznej, Marja Puzymianka z bloku narodowo demokratycznego, i, ewentualnie, Gabryela Balicka z tegoż bloku, o ile otrzyma on jeszcze jeden mandat z listy państwowej; jest nadto jedna kobieta z partji mniejszości narodowych, ukrainka, — maximum — siedem posłanek!

Nie zmieni to jednak faktu, że wybrano ich tylko trzy, gdyż poprawki i przesunięcia są to już rzeczy drugorzędne. Ale nawet przy uznaniu za właściwą ostatecznej liczby, przyznać musimy, że 7 do 444 nie jest imponującą cyfrą!

Dlaczego się tak stało?

Ile razy rozpoczyna się jakaś organizacja, jakaś ważna praca, w każdej chwili próby, walki, niebezpieczeństwa, potrzeby wytężonej działalności — wszyscy zwracają się z gorącym apelem do kobiet. Słyszymy wyrazy uznania, ba! entuzjastyczne pochwały dla ich poczucia obywatelskiego, sumiennego trudu, bohaterskiego nieraz poświęcenia.

Na każdym polu działalności gospodarczej, społecznej, politycznej również widzimy kobiety. Pracują licznie, tłumnie nawet, pracują z zapałem i doskonałymi rezultatami. Elementarna logika wskazuje nam, że znajdując się na tyłu stanowiskach, powinny wywierać odpowiednie wpływy i posiadać szeroką tych wpływów sferę.

A więc?

Czy społeczeństwo polskie nie ma, pomimo tego wszystkiego — zaufania do swych obywaterek?

Nie. Stało się to zupełnie z innej przyczyny.

Przy dzisiejszym systemie głosowania na listy, każde stronnictwo wystawia maximum kandydatów na dany okręg, ale zyskuje, wobec ogromnego zróżnicowania się partji, zaledwie kilka mandatów w każdym okręgu, w najlepszych nawet warunkach. Na 14



np. mandatów z Warszawy, największą liczbą posłów, jaką uzyskał jeden blok, jest sześć.

Wobec tego wiadomo zgóry, że ci, którzy postawieni są na pierwszych miejscach, mają pierwsze numery na listach, przejdą, dalsi—nie.

Otóż kobiet na listach kandydackich umieszczono wogóle bardzo mało, a dano im numery ostatnie!

Posłanka Praussowa jest np. na liście państwowej na 15 miejscu, Jaworska—na 211 I tylko dzięki temu, że ich stronnictwa zyskały dużą ilość mandatów, do których dodano odpowiednią ich sumę z listy państwowej, znalazły się te dwie kobiety w Sejmie.

Ze wszystkich okręgów wyborczych w dwóch tylko umieszczono kobiety na pierwszych miejscach—posłankę Kosmowską na drugim i Ostrejko—na czwartym. To też te, właściwie, zostały wybrane dzięki swym stronnictwom, a nie matematyce wyborczej: przesunięciom, dodawaniom z listy państwowej itp.

Każde stronnictwo, układając listę kandydacką, zgóry daje pewnym kandydatom szanse wyboru maksymalne, mniejsze i minimalne, boć żadna partja nie może przypuszczać, że przeprowadzi wszystkich swych kandydatów, aż do ostatniego! Jeżeli więc nazwiska kobiece są na ostatnich miejscach, to stawianie ich kandydatur jest czczą formułką, ot — czemś, przyznanem z łaski, dla pozorów!

Ogół wyborców, społeczeństwo, nic tu nie może poradzić. Dowiaduje się o nazwiskach, gdy listy są już wystawione. Czy można wtedy w ostatniej chwili, zwykle w gorączce walki wyborczej, wyobrażać sobie, że ludzie na listę stronnictwa, do którego należą, z którego programem sympatyzują, nie będą głosowali dlatego jedynie, że kobiety umieszczono na tej liście zbyt daleko?!

Objaw taki byłby nietylko niepożądanym, ale nawet wprost fatalnym, sprowadzałby, bowiem, całe zagadnienie krajowe do sprawy feministycznej i w dodatku niewiadomo, z jakiej racji.—Możnaby to jeszcze przypuścić, gdyby toczyła się walka o prawa kobiet, jak np. w tej chwili w Anglii o rozszerzenie praw wyborczych kobiet. Ale u nas kobiety mają przecież pełne równouprawnienie.

To więc jest niemożliwe.—Każdy wyborca idzie, bo iść musi, za swoim stronnictwem. Musimy to sobie dobrze uświadomić, właśnie dlatego, aby nie ulec mylnemu pozorowi, że mała liczba wybranych posłanek oznacza brak zaufania ogółu do kobiet.

Posiadają one to zaufanie w tym samym stopniu, co mężczyźni, a że jest ich w Sejmie jeden z czemś procent, sprawiły to tylko zarządy stronnictw, układające listy kandydatów.

Czy może te stronnictwa nie znalazły wśród siebie kobiet, odpowiednich do godności poselskiej?

Naogół była ich z pewnością dostateczna liczba. Nie mam zamiaru krytykować tu naszych nowowybranych przedstawicieli, ale jeśli przejrzymy ich spis, to obok szeregu nazwisk znanych, zasłużonych działaczy, znajdziemy i nazwiska tak... no, nic nie mówiące, że gdy porównamy je z osobami wybitnych w różnych dziedzinach działaczek, które jednak do Sejmu nie weszły,—ogarnia nas zdumienie.

Dlaczego tak jest?

Częściowo dlatego, że w każdej partji politycznej istnieje splot rachub, ambicji i różnych interesów, w których kobiety są, nie można powiedzieć, na ostatnim planie, gdyż niema ich wogóle na żadnym planie — nie istnieją, nie miały jeszcze czasu nauczyć się tych rzeczy, i oby to nigdy nie nastąpiło!

Ale nawet, abstrahując od tych cieniów politycznych, kobiety nie zdobyły sobie w stronnictwach mocnego stanowiska, nie potrafią jeszcze dyktować tam swoich warunków. Są potrzebne do pracy, są nawet za nią wysoko cenione, ale nie mają wpływu decydującego.

I to jest właśnie źle.

W dodatku—źle nie dla sprawy kobiecej wyłącznie lub przeważnie, ale właśnie dla spraw ogółu.

Słabo licząc—nie byłoby połowy, jeśli nie wielkości, rozmaitych matactw, intryg i skandalików politycznych, które potem rzucają sobie publicznie na głowy zwalczające się stronnictwa,—gdyby głos, opinia i stanowisko kobiet w partjach były mocniejsze.

Nie chodzi tu o wciąganie ogółu kobiet do polityki wyższej,—nie uprawia jej i ogół mężczyzn,—ale o to, aby te, które ją uprawiają, miały głos i wpływ, równe mężczyznom.

Pracując w stronnictwach, muszą kobiety zabiegać nietylko o pracę, ale i o jej rezultaty osobiste; nie usuwać się w cień, nie lękać się odpowiedzialności i wyrobić sobie to, aby się z niemi liczo.

Wtedy, w przyszłym jakimś Sejmie, naliczymy więcej posłanek, i napewno mniej waśni, a więcej realnych rezultatów pracy parlamentarnej.

Natalja Jastrzębska.





BOGDAN SUCHODOLSKI

## DUCH NOWEGO WYCHOWANIA

*Idea pracy i idea wolności w wychowaniu.*

Żyjemy w epoce wielkiej przemiany. Mówią o tem zarówno ci, którzy wielbią tę kulturę zwycięskiej techniki i samodzielnego człowieka, spodziewając się zwycięstw nad przyrodą jeszcze świetniejszych i jeszcze doskonalszych form ludzkiego współżycia, jako też i ci, którzy widzą niebezpieczeństwa, grożące duszy i osobowości człowieka, wprzęganego w rytm maszyny, zakrywającej świat ponadludzkich wartości. Istotnie: w życiu samem i w myśli o życiu dzisiejszem panuje wielki chaos. Zdają się upadać instytucje i zasady, wytwarzane przez wieki. W życiu publiczno-państwowem rozpoczyna się wielka przebudowa, a może radykalne zerwanie z demokracją parlamentarną. W życiu gospodarczem kapitalizm prowadzi do coraz ostrzejszych powikłań. Moralność się chwieje: rozum przyznaje, iż jej uzasadnić nie potrafi, a uczucie wygasa. Zdaje się wzrastać tęsknota religijna, choć religiom podcięto korzenie hizoryzmem i psychologizmem. Nauka zrezygnowała z odkrycia oczekiwanej prawdy. Chaos ten posiada głębokie i wspólne podstawy w kryzysie ideologii, załamaniu się poglądu na świat i rolę człowieka, poglądu, wytwarzanego od czasów renesansu, a w oświeceniu sformułowanego ostatecznie. Proces uniezależniania człowieka od ponadludzkich wartości, proces jego usamodzielniania i racjonalizacji życia, osiągając szczyt — wywołuje kryzys.

Ten, niezawsze uświadniany, ale wszędzie istniejący, kryzys ideowy przenika od wewnątrz wychowanie i jego nowe zasady. Nie są one dlatego ani czemś gotowem, sformułowanem jasno i pewnie, ani czemś jednolitem. Zupełnie fałszywem byłoby przekonanie, iż istnieje jakiś kodeks zasad nowego wychowania, o którym coraz głośniej się mówi. Jest ono, właściwie, bujnym splotem założeń i dążeń, obserwacji i pragnień; czemś żywym, zmiennym, różnorodnym. Z tem zastrzeżeniem postaramy się ujawnić kilka naczelných idei tego procesu.

Przedewszystkiem idea pracy. Kult pracy, charakterystyczny dla naszej epoki, wiąże się z jej kapitalistyczno-techniczną strukturą. Dzięki niej, praca stała się czemś tak świętem i wielkiem, jak nie bywała nigdy. Praca — a nie cel pracy. Bowiem dla kapitalisty i technika obojętne jest w gruncie rzeczy to, co się produkuje. Wszelki wysiłek zmierza ku temu, by wiedzieć, jak produkować. Kult pracy samej, pracy — nie jako środka ku czemuś, hasło „praca dla pracy” — świadczy też o tem samem, o czem inne analogiczne hasła (sztuka dla sztuki, wiedza dla wiedzy i t. p.) — o tem mianowicie, iż zaginął gdzieś wiel-

ki cel wszystkich dziedzin życia, jego jeden, wspólny, głęboki sens.

Taka idea pracy przeniknęła do szkół, i tu okazało się jasno, iż nie prowadzi ze sobą pojęcia celu pracy. Stała się bowiem zasadą dydaktyczną. Tak zw. szkoła pracy, to nasamprzód szkoła, w której uczeń samodzielnie pracuje i uczy się pracować. Na jakim materiale nauczania i w jakim celu, to jest sprawa zasadniczo obojętne. Praca sama, a nie jej owoce, ma wartość kształcącą. Stąd lekceważenie wszelkich zdobyczy pracy szkolnej, wszelkich wiadomości — a natomiast apoteoza heurrezy, ćwiczeń, badań, poszukiwań.

Ale dzisiejsza idea pracy posiada jeden jeszcze ważny składnik. Nie określając celu pracy, domaga się jednak wytwórczości. Jest to w zgodzie z kulturą techniczno-kapitalistyczną. Nie daje ona odpowiedzi na pytanie o sens, wartość i cel wytworów, ale niemniej domaga się ich silnie. Muszą być skutki, owoce. Choć mniejsza o pytanie: pogo? Stąd też i szkolna idea pracy, obok przedstawionego wyżej, ma jeszcze i inne oblicze: oblicze produktywizmu. Szkoła ma dawać owoce pracy społeczeństwu. Ale nie tylko w postaci wykształconych ludzi: uczniowie sami powinni od pierwszych lat dawać społeczeństwu owoce pracy własnej, a przynajmniej brać udział w gospodarczej pracy społeczeństwa. I tu jasno widać związek idei szkolnych z potrzebami gospodarczymi; świadczy o tem hasło: szkoła ma być jednostką gospodarczą, samowystarczalną i wytwórczą. Na tej zasadzie opierają się nowe szkoły ogólnokształcące, uprawiające rolę, posiadające zakłady przemysłowe, warsztaty. Mają one przyzwyczajać młodzież do życia pracy i wytwórczości. Szkoły takie rozpowszechniły się szczególnie w Rosji.

Idea pracy w swych dwóch składnikach: kultu pracowania i kultu wytwórczości — to jeden element ducha współczesnego wychowania,

Drugim jest idea wolności. Wolność — to modne hasło oddawna; posiada też przeróżne znaczenia. Godziło kiedyś w kościół i jego władzę. Dziś nikomu ona nie grozi. Kiedyś — we władzę państwową i absolutystyczną. Dziś i ta nie istnieje. Ale istnieje wciąż twarde i nieustępliwe życie gospodarcze, nagi-nające człowieka do swych potrzeb. A na tej podstawie wyrasta przeciwieństwo klas: wolnych i zależnych ekonomicznie. Idea wolności przybiera tą drogą charakter idei uwolnienia człowieka od więzów wszelkich, uwolnienia jego osobowości, uszano-



wania jego wewnętrznego świata, potrzeb i chęci. Jest to wciąż żywy, bo wciąż odmienny liberalizm. Ale ujawnia i on, podobnie jak kult pracy, brak celu wielkiego. Tam, bowiem, gdzie jest cel, tam istnieć musi chęć narzucania, a przynajmniej żądza apostołstwa. Stąd na pytanie: wolność, uwolnienie — ale co dalej? — brak dziś odpowiedzi.

Odbija się to również jaskrawo w szkolnictwie. Idea wolności zaczyna niepodzielnie panować w nowym wychowaniu. Dziecko jest wolne. Nie trzeba mu niczego narzucać. Niech rośnie i niech się rozwija. Niech buduje to, co w sobie nosi. Jest to ciekawa postawa pedagogicznej rezygnacji: my, ludzie starsi, męczeni chaosem współczesności, nie posiadający żadnej wiary pewnej, a nauczani szanować wszystkie — nie możemy, bo nie potrafimy, a nawet nie powinniśmy niczego narzucać światu młodych. Stąd próby szkół pajdokracyjnych. Szkół, gdzie rządzi dziecko, i gdzie jest często tyranem.

Ale idea wolności ma dziś — a raczej zyskuje — inny jeszcze sens dla kultury. Uwolnienie osobowości doprowadzi niewątpliwie do upadku w pustkę, gdy się z głębi tej osobowości nie rozwinię celu i idei dla niej. Zdaje się, iż najgłębszy i twórczy sens słów: „jestem wolny“, to tyle, co: „służę temu, co kocham“.

Dlatego ofiarność i bohaterstwo wiążą się zawsze — w poczuciach — z wewnętrzną wolnością. Stąd dziś poszukiwania idei takiej, któraby wyrosnąć mogła z ludzi wolnych i któraby stać się mogła wspólnym ich światem.

Ujawnia się to i w szkolnictwie. Duch nowego wychowania, to nie tylko hasło „uwalniać, aby uwalniać“, ale także „uwalniać i usamodzielniać“, aby w ten sposób stworzyć podstawy do trwałego i głębokiego przyjęcia jakichś prawd. Może najciekawiej ta kwestja wygląda w szkolnictwie włoskiem: faszystowska reforma szkolna opiera się na idei wolności w wychowaniu.

Idea pracy i idea wolności nie wyczerpują jeszcze ideowych podstaw nowego wychowania. Przede wszystkim, niezawsze są w harmonji: często trudno pogodzić kult pracowania i wytwórczości z kultem wolności.

Zachodzi tu często konflikt. Ale nie może się to stać podstawą oskarżeń i zarzutów. Życie właśnie polega na ciągłym przewyciężaniu przeciwności. W tem się rozwija najowocniejsza jego twórczość. To też i nowe wychowanie pojmiemy lepiej jeszcze, skoro zastanowimy się nad możliwościami powiązania wolności i pracy.



J. W. KOSMOWSKA

## MARJA WERYHO-RADZIWIŁŁOWICZOWA

Mnoży się coraz więcej wydawnictw, obejmujących wspomnienia z niedawno przebytych bojów o niepodległość; bogaty to będzie materiał dla historyków. Kroniki jednak milczą o tych, co wciąż długich dziejów porobiorowych dla przyszłej wolności narodu w bólu i męce pracowali, przygotowując chwilę wyzwolenia.

Znaczna część zasług przypada w tej pracy kobietom, które, nieulekłe wobec represyj i prześladowań, prowadziły wśród szerokich mas ludowych działalność oświatową, stały na straży kultury narodowej, broniąc ją od całkowitej zagłady.

Takich wytrwałych bojowniczek był cały legion nie wszystkie jednak imiona przeszły do świadomości potomnych: wiele ich rozplynęło się w ciszy zapomnienia. Tem pilniej więc dziś my, szczęśliwsze od nich, bo korzystające z odzyskanej wolności, winnyśmy ujawniać, a nawet gloryfikować czyny tych

co rozświetlały ogarniające nas ciemności pochodnią oświaty i uspołecznienia.

Jedną z najgorliwszych w tym zakresie była M. Weryho-Radziwiłłowiczowa, a i dziś jeszcze nieznużona kilkudziesięcioletnim trudem pracownica na polu narodowego wychowania.

Urodzona na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, a wcześniej osierocona, sama kształcąc się jeszcze, musiała otoczyć macierzyńską opieką dwóch braci swoich, z których jeden, dziś już nieżyjący Władysław, stał się chlubą polskiej myśli filozoficznej.

Wyższe wykształcenie musiała zdobywać w Petersburgu; dało jej ono jednak gruntowne podstawy naukowe, nie naruszając skarbu, ukrytego w głębi duszy: skarbu miłości dla umęczonej ojczyzny i gorącego pragnienia przyścia jej z pomocą.

Zadaniem, które jej się wówczas najpilniejszym wydawało, było wychowywanie dzieci ze sfer ubogich, nie





P. Marja Weryho-Radziwiłłowiczowa.

mogących się pokusić o zorganizowanie prywatnego nauczania, jak to czyniły warstwy zamożniejsze i wykształcone, a stąd oddanych na pastwę metod wynarodowiających. Rusyfikacyjnej szkole miała się przeciwstawić polska ochronka, ze swem nauczaniem bez książki, z rozwijaniem zmysłu spostrzegawczości, z usposabianiem dziecka do zdawania sobie sprawy z otaczających je faktów i objawów życiowych. I M. Weryho - Radziwiłłowiczowa samorzutnie stworzyła metodę, która temu zadaniu w zupełności odpowiadała.

Czyż potrzebujemy stwierdzać, że była to droga, prowadząca do wychowania całych zastępów myślicy i twórczych obywateli kraju?

Trzeba było jednak stworzyć cały system dla przeprowadzenia tak trudnego zadania.

Więc nasza działaczka zakłada w 1906 r. Seminarjum dla ochraniarek, organizuje Towarzystwo Wychowania Przedszkolnego, podtrzymujące dobrowolnemi ofiarami tę instytucję i wydające własny organ dla rozważań teoretycznych. Zwołuje pozatem doroczne Zjazdy wychowanek Seminarjum, na których omawiane są plany i programy.

I staje się tak, że około tego pokrzywdzonego, ubożego polskiego dziecka rozwija się szeroka akcja, której duszą i czynnym motorem jest M. Radziwiłłowiczowa.

Zainicjowane przez Władysława Dawida, a prowadzone następnie w Tow. badań nad dziećmi przez p. A. Szycównę studja nad psychiką polskiego dziecka, znalazły w ochronach swój teren eksperymentalny.

Wszystkie najnowsze metody wychowawcze były tam stosowane. M. Weryho-Radziwiłłowiczowa jeździła

do Belgji, aby tam zwiedzić doświadczalną szkołę Decroly'ego, studjowała metodę rytmiki Dalcroze'a; zawsze jednak wracała do podstaw rodzimych i na nich swoją działalność opierała.

Odbija się ta miłość „do gniazda“ w całym szeregu cudnych książeczek, które dla dzieci i o dzieciach napisała. Czy to będzie „Wśród swoich“, czy „W ich świetle“, czy przesliczne „Cztery pory roku“, wysławiające polską przyrodę, a ogrzane słońcem prawdziwie miłującego swój kraj serca—wszędzie odczuwa się tę nieustanną, a żywo pulsującą troskę o „polskość“ młodego pokolenia, o jego wyższe, szlachetniejsze „człowieczeństwo“. Nie dosyć na tem: troskliwa wychowawczyni chce jeszcze każdą jednostkę zaprawić do pożytecznej pracy i pragnie, by ochronka była jej podwaliną, dawała podstawy na całe życie. Więc pisze swoją „Naukę o rzeczach“, a potem wskazówki: „Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym“, „Zabawy i zajęcia ręczne“, wreszcie „Wskazówki dla osób, zakładających i prowadzących ochronę“. Do spółki z p. Strzemeską układa „Metodykę wychowania przedszkolnego“. Nie wyliczam tych książek, które zostały już wyczerpane, sądzę jednak, że i tak jest to już plon bogaty.

Na licznych zebraniach, urządzanych przez przewodniczącą Wychowania przedszkolnego, obok wielu kwestyj, z pedagogją związanych, zastanawiano się też i nad kwestją treści wydawnictw gwiazdkowych. Rozpowszechnione były przed wojną opowieści o dzikich ludach, o walkach, które z niemi stacali młodociani podróżnicy, co odwracało uwagę od najbliższego otoczenia, od jego potrzeb i braków. Wydawnictwa M. Radziwiłłowiczowej działały właśnie w przeciwnym kierunku—to było ich wielką zasługą. Swojskością i dobrocią, naturze swojej właściwą, zjednała sobie bezgraniczne zaufanie warstw fizycznie pracujących. Ona to organizowała wzorową ochronę w Łodzi w czasach najcięższych dla tego fabrycznego miasta, gdy, zaniedbane i opuszczone, przedstawiało obraz moralnego zdżiczenia.

Ona powołaną została do urzędu ochraniarki dla dzieci pracowników tramwajowych w Warszawie, pierwszej u nas instytucji o wysokim kulturalnym poziomie. Wreszcie w początkach państwowości polskiej Zarząd miasta oddał jej pieczę nad 53 ochranami.

Potem czas jakiś była referentką działu Wychowania Przedszkolnego w Ministerstwie Oświaty, zanim dla braku środków nie zredukowano go do minimum.

Wobec bowiem ogromu potrzeb oświatowych, a mającego im zapobiegać rozwoju szkolnictwa powszechnego—likwidowano to, co było chlubą i zasługą działaczek naszych z czasów niewoli: obronę duszy polskiego dziecka przed obcemi destrukcyjnymi wpływami. Cześć tym, które temu zadaniu całe swoje życie oddały!



STANISŁAW MIŁASZEWSKI

# DON KISZOT

Fantazja sceniczna według Cervantes'a.

## URYWEK ODSEŁONY VII.

*'Polana przy gościńcu. Don Kiszot spotyka Sanczo Pansę, trzymającego w ręku rożen.*

DON KISZOT: Kto ośmiela się wznosić bluźniercze okrzyki?  
Urąga Dulcynei ten wrzaskun włóczyki!..  
Skórę przetrzepać trzeba zuchwalcom i gburom.  
*(Wchodzi na scenę).*  
To ty, Sanczo?

SANCZO: Co widzę? To pan? Góra z górą..  
*(Don Kiszot chwytą go za ramię i potrząsa).*

DON KISZOT: Widziałeś Dulcyneję? Czy ci była rada?  
Czy zdrowa?

SANCZO: Zdrowiuteńka... Aj, drób mi pospadał

DON KISZOT: Skoroś ją widział, jak śmiesz na cześć innej  
wrzeszczyć?

SANCZO: Ot, panie, chciałem tylko jadaczkę przewietrzyć.

DON KISZOT: Jak cię Ona przyjęła? Kto list pisał, powiedz?

SANCZO: Dawnego zakrystjana cioteczny synowiec.  
Nad listem jak miech wzdychał i gorzkie łyżę łykał,  
Choć zęby zjadł na psalmach i ekskomunikach...

DON KISZOT: Dobrze list pamiętałeś? Powtórz, co w nim było?

SANCZO: Gdym list oddał, coś mi go ze łba wykruszyło..  
O śmierci stało w liście coś razy czterdzieści.  
I o niebieskiej damie od siedmiu boleści.

DON KISZOT: Cóż robiła królowa moja, gdyś przyjechał?

SANCZO: Miesiła ciasto w dzieży, aż trzęsa się strzecha.

DON KISZOT: Czy list podniosła do ust? Garnęła do łona?

SANCZO: Skądże? toć cała mąką była ubielona!  
„Połóż” powiada do mnie, „list wpodłe koryta.  
Jak się skończy robota, może go przeczytam”.

DON KISZOT: To skromność, o uczuciu świadcząca głębokiem:  
Nie chciała łkać nad listem pod posłańca okiem!  
A czy pytała o mnie? Mów, nic nie ukrywaj!

SANCZO: Sam rzekłem, żeś pan, goły po pas, przeskakiwał  
Z czubka góry na czubek, klnąc na czem świat stoi!

DON KISZOT: Nieprawda: błogosławię raczej doli swojej.  
Iż serce me posiadała pani wielka, wzniosła.

SANCZO: Juźci wielka! o łokieć, gidja, mnie przerosła!

DON KISZOT: Jakto, jakto, zuchwalcze? Toś ty się z nią mierzył?!

SANCZO: Trufunkiem, gdym pomagał ciasto *wyjmac* z dzieży!

DON KISZOT: Czy słysząc me imię, rumieńcem gorzała?  
Czy podwakroć tych samych pytań nie zadała?  
I czy z nogi na nogę nie dreptała, trwożna?  
Stan duszy z ruchów ciała łącno poznać można.  
Mów, mów, co jeszcze rzekła pani mojej doli?

SANCZO: Że pana, nie bazgroty pańskie, widzieć woli.

DON KISZOT: O dniu szczęsny! Co osieł wyskoczy, pędź do niej!  
Spytaj, czy mi dziś stanąć przed sobą nie wzbroni?

SANCZO: Ja mam o suchej gębie gnać znowu do miasta?  
Do nóg upadam! Nigdzie nie będę się szastał!  
Nie ja się w Dulcynei durzę.—pan się durzy:  
Pan sam jej sobie szukaj, szczęśliwej podróży!

DON KISZOT: Sto razy mam powtarzać, ty gnuśny brzuchaczu,  
Żem dotąd Dulcynei nigdy nie zobaczył?

SANCZO: Sława twa, Dulcynejo, nadziejska dziewojo,  
Sława twa uczyniła cię boginią moją!  
*(na stronie).* [Skoro nigdy nie widział Dulcynei, to  
można mu zamiast niej inną pokazać! Zawszeć  
dziewucha do dziewuchy podobniejsza, niż kar-  
czma do pałacu!  
*(Wpatrując się w gościnniec, woła):*

Panie, w czepku-ś się rodził: Dulcyneja jądzie  
DON KISZOT: Gdzie, gdzie?

SANCZO: Tam, w jaśniepańskiej śmiga se paradziel!

DON KISZOT: O nieba! Czyliż wreszcie zobaczę ją? Czyliż,  
Losie zawistny, nieba mi wreszcie przychylił?  
Wzrokiem śmiertelnym ujrę wreszcie anielicę!  
Sanczo, jeśli omdleję, spojrzawszy w jej lice,  
Wyjaśnij, że Don Kiszot ze szczęścia omdlewał!

SANCZO: Mdlej pan zdrow! Licz pan na mnie: gęba nie  
cholewał!

DON KISZOT: Ujrę ją, cud nad cudy, duszę mego ducha!  
*(Wjeżdża chłopka na os'ie):*

SANCZO: To ona!

DON KISZOT: Co? Ta szpetna na osle dziewucha?!

SANCZO: Szpetna? Czy panu oczy czary zamroczyły?  
Chciałbym, by pchły w mem łóżku takie szpetne  
[były

Jak ona!—Śliczna księżna, aż biorą ciągoty!  
Z sukni złoto w piach kapie, czaprak także złoty,  
Tęcza przy niej, to ścierka, od roku niepranal...  
Oczy rwie, taka ładna; wali wprost na pana.  
Koń pod nią nad śnieg bielszy, spaśny, jak maciora.

DON KISZOT: Okropność!

SANCZO: Pan śpiz chyba!

DON KISZOT: Ja widzę potwora.

SANCZO: Zbudź się pan, bo uszczypnę!  
*(usiłyje to uczynić, ale zbroja przeszkadza):*  
Blacha, aż do dołu!..

Kłękaj pan! Dulcyneja tuż—tuż!

DON KISZOT: Ten kocmołuch?!

SANCZO: Kłękaj pan! Rozum panu czarami odjęli!  
Witajcież nam, księżniczko, śliczna, jak anieli!  
Jasności od was biją, że aż ślepie mrużę!  
Kłania się wam do ziemi Sanczo, wasz podnózek!  
To mój pan, zakochany w was po same uszy!  
Ino zdębiał, że nawet językiem nie ruszy.

CHŁOPKA: Żarty się panów trzymają? Ustąpta z drogi! Do  
czegoś takie zbytki na gościńcu?

SANCZO: Głos, jak muzyka! Śliczna księżniczko, bądź dumna  
Dla ciebie tutaj sterczy rycerstwa kolumna!

CHŁOPKA: Mężczyzny zawsze łase na przepinkiny z dziewuch!  
Jakby to wiejska kobieta miała trzy dziurki w no-  
sie, a nie dwie! Tfu, łby już prawie siwe, a we  
łbach ciągiem pstro!

DON KISZOT: Wobec podstępów piekła duszę mam bezwładną,  
Arcywzór piękna moce przekłętę mi kradną!  
Pani, przyjm korne hołdy smutnego człowieka.  
Któremu jesteś bliska i... bardzo daleka!  
Miłości Don Kiszota żaden czar nie skruszy.  
Bo on na Dulc yneję patrzy wzrokiem dusz y!



FELICJA KRUSZEWSKA

## M O S T

Ściany zataczały się chyba z gorąca i podniecenia. Przejmujący głosik skrzypiec poprzez nierówne szpary w deskach znajdował sobie drogę do uszu Małgorzaty. Z sali buchał aż za malutkie kulisy zapach stłoczonych ciał ludzkich, skwierczących świeczek i sośniny. Jakże było duszno! Wszystko słyszało się poprzez lekki szum krwi. Usta piekły pod grubą warstwą pomadki. Małgorzata, otulając się powoli szalem, starała się opanować chwytną ją raz po raz radosne skurcze serca. Na języku czuła jeszcze palący smak wódki. Pili ją kolejką z grubej szklanki wśród spazmów śmiechu — dla dodania sobie odwagi, jak zapewniał Jerzy. W ciasniutkiej przestrzeni między chropowatymi ściankami desek miotał się tu i tam owładnięty manją ładu i dyscypliny Józek. Napróżno, depcząc po nogach obecnych, docierał w ką, gdzie Jerzy z Jadwiśką utknęli w jakiejś skomplikowanej figurze tanga. Zawieszona na kratkach okienka szopy Lilka zapewniała co chwila jękliwie, że dosłownie omdlewa z zaduchu. Brzęczenie i krzyki publiczności targały kurtyną i rozbijały się na scenie.

— Małgosia i jej amant na arenę! Out! — ryczał Józek.

Małgorzata, krztusząc się ze śmiechu i przerażenia, podniosła głowę i napotkała oczami oczy Jana. Z temi czarnymi powiekami, z jaskrawą plamą ust był zupełnie do siebie niepodobny. Twarz jego zatańczyła w błysku lampki, jak wszystko dookoła.

— No, już! — wściekał się Józek. Lilka oderwała gorące dłonie od krat, błogosławiąc młodą parę. Ściana skrzypnęła, czy też zaśpiewała cieniutko. Skrzypce urwały niepotrzebną piosenkę.

Małgorzata wkroczyła w to szaleństwo, czując na karku wilgotny powiew oddechu Jana. Dywan kołysał się pod dotknięciem nóg. Kurtyna wionęła w bok. W półmroku twarze widzów podrygiwały rzędami białawych plamek. Jakaś świerkowa gałązka zatańczyła nad świecą, przesywając gęste powietrze przenikliwym śwędem. — Szopę mi z dymem puszcza, smarkacz! — mruknął gdzieś z pierwszych rzędów pan Antoni.

I, zanim jeszcze zdążyła wypowiedzieć swoje wyuczone, śmieszne słowa, Małgorzata poraz pierwszy zobaczyła ten most. Zaczynał się na scenie u jej nóg. Zaczynał się właśnie pośrodku. Prosty i nieruchomy pośród całego tego chaosu, biegł jasną smugą ponad głowami widzów w ciemność. Tak. Tam właśnie należało wejść. Małgorzata zrobiła pierwszy krok, czując jednocześnie, jak ją porywa w górę du-

szny wiatr tyłu oddechów. Zatrzymała ją ręka Jana. — Ty, — mówił coś do niej, — ty — Zuzanno...

Wtedy most znikł i Małgorzata przypomniała sobie wszystko. Przecież stała na scenie. Przez chwilę poczuła w gardle łaskotanie śmiechu na myśl o tem, jaką to przerażoną minę zrobił za kulisami Józek. Zaraz potem odnalazła z łatwością leżące tuż, gotowe słowa swojej roli. Wyłaniała je chętne i dźwięczące zpośród gorących warg. Biegły wszystkie do Jana. Nie, biegły wszystkie w tę szarawą, wirującą ciemność. Dobiały aż do przeciwległej ściany i w pobrząku ciszy stawały się ważne. Kiedy umilkły, czy też leciały dalej już za ścianą, rozkładać się zaczęły na gorącym wietrze miękkie aksamit głosu Jana. Mówił coś pieszczotliwie i błagalnie do niej — do Zuzanny, czy do Małgorzaty? Wtedy z niepojętą radością poczuła, że są sami tylko we dwoje, odcięci rzędem lampek od całej sali. Nigdy dotychczas nie pomyślała, że tak być może. Wszystkie te, tu w tej szopie wyuczane wieczorami, pełne rozdzierającego na kawałki śmiechu, próby wydały jej się nedorzeczną zabawką. Zupełnie nie zmierzały do tego, aby teraz to najnidorzeczniesze amatorskie przedstawienie stało się prawdą. Wyuczone słowa uczyniły się nagle własne. Wrywały się z piersi Małgorzaty przenikliwie, nieomal jak jęk radości.

— Nie, nie! — broniła się przed wyciągnięciem ku niej ramieniem, przęcając się w cudacznie niebieskim rękawie — na miłość Boską!.. Alfredzie... I truchlała naprawdę z rozkosznej trwogi, bo jeden nagły błysk w oczach Jana powiedział tak wyraźnie, że Jan wszystko rozumie.

Ściany przytupywały, nucąc. Podłoga wrywała się z pod nóg. Smoliste gałązki zielone, czy też może płomienne, tańczyły nad jaskrawymi jęzorkami świec. Żyły pękały z gorąca. Dłonie gładziły płomień. Pod warstwą wstrętnej, tłustej pomadki usta odnalazły smak innych ust.

— Patrzcie państwo, oni nie markują zupełnie! — doleciał z za kotary zdyszany szept Lilki. — I nagle z pod uczernionych rzęs w bok, w bok, ukośnie — migotliwa siatka promieni. Most! Most, wiodący chyba do szaleństwa. Och! Małgorzata straciła nagle obecność Jana, czy Alfreda.

Oklaski załomotały w skronie. O wiele prędzej, niż to wypadało z roli, Małgorzata przeszła tańczącą, ścianę kotar. Chwiejąc się na nogach, zatoczyła się na Józka. Ten, burakowy na twarzy, jednym ramieniem wypychał przed sobą popiskującą zcicha, dygoczącą Lilkę, drugim robił rozpaczliwe znaki w stronę



otwartych bocznych drzwi, gdzie Zdziś i Terenia dopalali spokojnie papierosa. — Matka! — ryczał zjadle — matka na scenę!

— Brawo, Zuzanna! Brawo, Alfred i Zuzanna! — wyli Jadwiśka i Jerzy.

Wśród całego tego rejuwachu, płacząc szal w czyjejs sukni, Małgorzata sterowała ku drzwiom. — Nie odchodź daleko! — gonił ją ochryply syk Józka. Wreszcie gorące jej dłonie przebiły ciemny prostokąt powietrza. Świeży zapach trawy spłynął ogniem po policzkach. Opierając się plecami o ścianę, poczuła raz jeszcze taneczne pulsowanie szopy. Z boku zaszumiało ostro jakieś drzewo. W nozdrza wpełzały już zwolna znajome zapachy stajni czy obory. Przez chwilę myślała, że runie głową prosto w nabiegłe ciemną szarością niebo. Wkrótce zrozumiała, że to była omyłka. Na dworze było prawie jasno od młodego księżycyca. Łykając wilgotne powietrze, Małgorzata nie wiedziała zupełnie, co ma zrobić z radości. Czyż nie była w samym środku tego wszystkiego? Czyż nie była najważniejszą osobą na świecie?

Przez migające od cieni, syczące głosem Józka drzwi wypadł na podwórze Jan. Przez krótką chwilę stał ogłuszony zupełnie, zanurzony zniemacka w pachnącą świeżość nocy. Po tej chwili jego wyciągnięta ręka spotkała rękę Małgorzaty. Paląca dotkliwie szarfa oplątała splecione palce. Powietrze waliło w płuca. Huczająca szopa kłuta kolcami okien.

Popędzili prosto przed siebie, przez tańczący dziedziniec. Na drodze blado połyskiwały kamienie. Drzewa przeginały się przez sztachety ogrodu. Tytonie krzyknęły mocnym zapachem. Ścieżka toczyła się wdół, jak szalona. Ziemia tętniała krwią. Łąki, rozłożone pod światło księżycyca, podnosiły się aż do nieba. Rzeka dławiała się w pośpiesznym bełkocie. Zdaleka, prosto zgóry, walił las.

Ból ostrą igłą przeszył zdyszane gardła. Zatrzymali się na jakimś bijącym, jak serce, kawałku ziemi. Wilgotna trawa mocno owiązała stopy. Pod wijącą się z szaleństwa olchą, pośrodku całego świata, w środku samego nieba całowali się do utraty reszty tchu. Osłabli zupełnie, wspierali się ramionami. Powieki opadały z rozkoszy na oczy. Serca jęczały w piersiach. Ale nowa fala powietrza, bijąca z łąk, pchnęła ich dalej. Uderzenia wilgotnych, parzących

gałązek kasały do krwi. Las zakrzywił iglaste palce. Krzaki rwały się wgórę skrzydłami. Gałęzie tańczyły po niebie. Niebo napierało na gałęzie i, rozzdzierane milionami igieł, kapało pod nogi białawą krwią. Dróżki poplątały się zupełnie. Pobiegli, tańcząc. Od drzewa do drzewa. Rosa kłuta rozpalonemi szpilkami. Mech udawał, że jest zupełnie srebrny. Zapachniały w trawie rozgniecione poziomki. Małgorzata nie wiedziała, czy jeszcze żyje.

W szorstkim świecie gałązek usłyszała głos Jana: — Jaś i Małgosia... — wszeptował jej w ucho które stało się chyba kawałkiem czerwonego węgla. Od ciepłego oddechu zatańczyły włosy na skroni. Śmiech rozsadził zębra, które nie pozwalały wyskoczyć sercu. Czepiając się jakichś gałązek, jakichś liści, śmieli się już do zupełnego szaleństwa.

Wreszcie las wyrzucił ich, nieprzytomnych z radości, na białą przestrzeń pola. Runęli w tę przepaść księżycowego światła. Twarda, huczająca droga drgnęła i skoczyła wtył. Od huśtania się nieba nad głowami, brakło zupełnie tchu. Serce z krzykiem wyskakiwało z gardła. Dłonie były, jak cztery bijące serca. Wiatr bił w pękające usta. Płachta gęstego zapachu zatykała nozdrza. Kłosa z gwizdem siekły powietrze.

Pędzili wprost na przerywną drogę linię kolejowych szyn. Białe kamienie przydrożne skoczyły śmiesznie naprzeciw. Małgorzata pomyślała w tej chwili, że noc krzyknęła. Wiatr załomotał. Ziemia zagrzmiała. Jan ostatkiem sił zdołał zrozumieć zbliżanie się pociągu. Szarpnął w tył rękę Małgorzaty i upuścił uwięzione palce. Chciał krzyknąć i tylko zajęczał. Małgorzata pobiegła dalej sama, słysząc za sobą dudniący tupot nóg. Dwie czerwone, olbrzymie gwiazdy darły z hukiem przejrzyste ciało nocy. Małgorzata była pewna, że wbiegła już na niebo. Oczy przestały widzieć. Promienie czepiały się rzęs. Promienie wybiegły dalej naprzód, w poprzek szyn kolejowych złotą, prostą smugą. Most! Most w samym środku istnienia! Do tego zmierzało wszystko. Teraz wreszcie można było wejść.

Szyny wpełzły pod nogi pędzącej Małgorzaty. Droga uderzyła o niebo. Gwiazdy, sycząc, runęły na most. Jan krzyknął. Małgorzata była już na moście.





HERMINJA NAGLEROWA

## ZA RAMĄ LUSTRA

(nowela)

Zimą wczesny ranek spadał na pierś, jak czarny ptak. Długim, twardym dziobem kłuł w płuca, jeszcze oddychające niedospaniem. Helena otwierała powieki zmarszczone, jak liść włoskiej kapusty, i pośpiesznie z pod kołdry wysuwała rękę do dzwonka. Wtedy ramię przyszczyło się od zimna, i odrazu niechęć chlustała szaremi mętami w twarz. Wdół pościeli opadały zbolące plecy, i chciało się tak leżeć już na wieki.

W drugim, bliźniaczym łóżku ciągnął się oddech, jakgdyby ktoś smyczkiem tarł o kant drzewa.

— Jeszcze śpi, jeszcze tak mocno śpi!

Ale już postukały twarde obcasy służącej i skrzywienie drzwi nie miało miłosierdzia dla nikogo. Oddech męża zbełtał się i stęknął, jak pociąg na stacji. Bury maszyn służącej gwałtował przy obuwiu i ubraniu. Podniosła się z trzaskiem stora i nawał sinego światła wtargnął do pokoju.

Oczy patrzyły już chłodno w rozpoczynający się dzień

— Późno, do diabła, tak już późno! — chrypiał mąż, a jego głowa, jak kudłaty, czarny psiak szarpała się po poduszce.

Prędko, prędko omawiało się konieczne sprawy. Burkliwe słowa nie wysiłały się zbyt, bo dreszcz ranka dygotał w jelitach i spinał szczęki.

Dopiero, gdy w stołowym pokoju żółte lusterka herbaty zaświeciły w filiżankach, a bułki pękły w rękach, można było wysłuchać dłuższego wywodu o masle, które na kość zamarzło w spiżarni, o konflikcie z szefem i o tych obcasach, naprawdę już niemożliwie startych.

Wszystko to było na jednej i tej samej płaszczyźnie i musiało się wśród łyków herbaty rozdzielać, grupować poszczególne niedole, jakoś je uśmierzać odpowiednim słówkiem. Pod koniec śniadania Kazio był już prawie wesóły i uraczył kawą, przyniesioną z biura. Helena myślała wtedy, że taksamo w teatrze greckim po tragedji pocieszano komedją; śmiała się jednak, napinając blade wargi nad kęsami bułki.

W piecach huczał ogień, najweselszy chyba w tym domu. I, gdy mąż odszedł, musiało się przez chwilę popróżnować przy rozpalonym krążku drzwiczek, zanim załopotwały skrzydła gospodarskiego pośpiechu.

Wołało się, jak codzień:—Najpierw posprzątać w saloniku!— I jak codzień, trudno było uwierzyć, że na dziewiątą wszystko tam będzie w porządku. O dziewiątej bowiem zaczynały się lekcje fortepianu.

Gamy szły wolniutko, jak chory po schodach. Skostniałe palce nie mogły się rozplątać. Trzeba było powracać do basów i dreptać w nich, jak w czarnej smole. A gdy się wreszcie doszło do wiolinu, drobniutkie paciorki zabrzczały szklano i pusto.

Helena pouczała poważnym, twardym słowem i nieco brutalnie zginała palce uczenicy. Potem nogą wybijała takt. Gdy grała na cztery ręce sonatiny, wzburzała się od dawnych ambicji. Kiedyś chciało się przecież być wirtuozką na wysokich, wysokich estradach! Ucenica zmyliła rytm i fortepian zazgrzytał nieutajoną wściekłością. Swąd kuchenny przyczołgał się pod sam nos, zdradzając zaniedbania służącej.

— Znowu przypaliło się mleko!

Za ciężko jednak było złościć się codziennie o to samo. Clementi brzdąkał gładziutko i przebaczał wszystkim winom. Ho-ho, moja pannol! do Mozarta jeszcze daleko, ale właśnie on pocieszyłby wszystkie smutne i znudzone serca!

Jedna z uczenic grała już Bacha. Pilne, staranne paluszki rozmawiały we dwa głosy. Helena mogła wtedy myśleć o kroju aksamitnej sukni, ale zawsze słyszało się ten głęboki, mocny bieg dźwięków, tę utajoną pasję rytmu, który musiał wszystko przewyciężyć. Nowa suknia stawała się więc niepotrzebna, codzienne sprawy rozstępowały się na dwie strony, aby przepuścić majestat fugi, idącej w świat. Niby długa, biała droga, czesana wiatrem.

Około pierwszej kończyły się lekcje. Fortepian czekał jeszcze na miłe głaskanie ściereczki. Klawisze pod naciskiem kwiliły, jak pisklęta, beczwały, jak owce, aż szarpnęło się glissando przez całą klawiaturę. Teraz należało już pójść do kuchni. Dymiała, tak właśnie, jak codzień, buchając kwaśnym jadem, niby smok. W otwartym oknie stał niedostępny, szklany mróz. Służąca, umazana sadzą, niczem djabeł w jasełkach, wierciła ożogiem. Jakoś się wreszcie uspokoiły żywioły, zamknięto okno od podwórzowych nawoływań, i wtedy dopiero można się było zabrać do mięsa.

Palce zafarbowały się oślizgłą, zimną krwią. Nóż z namysłem wcinał się w niebieskie linijki żył, w czerwone, pluskające gruzły. Jednocześnie rozstrzygało się dylemat: kasza, czy kartofle, albo: sos chrzanowy, czy ogórek? Na kuchni terkotały pokrywki i pryskał tłuszcz. Oczy stawały się wściekle od gorąca, ręce biegły na ratunek, bo białe piany wyrosły czubato, jak szczyty śnieżnych gór. Bulgot wody w marchewce wołał o masło. Mąka na patelni stawała się ruda, jak świeżo rozkopana glina. Szczerniały drewniane łyżki, napuchłe



od smaków, zapuszczały się głęboko we wrzątek. Bułka poczuła się o grzbiet tarki, widelec zatańczył w ciągliwej mazi jajka.

Nie starczyło czasu na grymas obrzydzenia, bo już wołała Różia o przygotowanie bielizny do „przepierki“. A wtedy wszystkie zapachy kuchni przesłoniła mdła woń mydlin. Stało się mgławo i duszno. I nic już nie istniało na świecie ponad ćwierkanie, szumienie, skrzypienie wody na dnie balji.

Kosmyk jasnych włosów opadł na czoło, policzki piekły, wargi truł opar kuchenny. Na jakimś krzeselku przysiadło się na moment i czekało na larum tego, czy innego garnka. Różia pojadała chleb ze szmalcem, pchając w usta pajdę, jak knebel. Szczęki wybulwiały się śmiesznie, a przełyk nadymał się, jak u indora. Jeszcze o te „szkwarczki“ poprosiła, sypiąc je garścią w usta, niby jagody. Helena uśmiechała się do apetytu Rózi, jak do tych wszystkich, niezmiennych spraw dnia.

Gdyż dzień drobił się na zajęcia, jak sypka, dobrze ugotowana kasza. Za godzinę przyjdzie Kazio i będzie głodny, jak wilk. Obiad, który się tak długo gotuje, zjedzą za kwadrans. Kazio położy się na sofie i, nie doczytawszy „Kurjera,“ zapadnie w spuchły, czerwony sen poobiedni. Wtedy trzeba się będzie śpieszyć na lekcję do dwóch uczenic na Szczygłej.

Z Polnej idzie się tam dobrym kłusem pół godziny. Rude powietrze zmierzchu faluje w ulicach,

a nogi muszą być ostrożne na ślizgawicy jezdni. Na Marszałkowskiej świecą się latarnie, mętne od zakrzepłej pary, jak sznur starych bursztynów. Nowy Świat tłoczy się, niczem kiermasz. A dla rozgrzanego ciała wszystko jest bliskie i niemal własne.

Można więc, jak jednym zamachem ramienia, zagarnąć witryny sklepowe, mijane w pośpiechu. Wszystko się przyda: i dwadzieścia par pantofli, i różowe, liljowe, żółte combinaisons, i śliczny „Peugeot“ z uskrzydłonym sfinksem na wyciągniętym ryju. Nie wolno też pogardzić srebrną zastawą, ani kruszącym się migotem brylantowej markizy, ani suknią pailletowaną, lśniącą, niczem pancierz srebrnego Lohengrina, ani jedwabnemi pończochami, jak długie, blade jęzory.

Nie, niema już granic zachłanności i nikt nie stoi jej na zawadzie. Usta wydmuchują biały obłok śmiechu.

Na lekcji jest wesoło, bo dziewczęta grają modne tańce. Ich chora matka nie lubi gam i tego straszliwego nękającego Szopena. Jadzia pokazuje pani Helenie, jak się tańczy charlestona, a Wicia bębni, bębni, rozwala klawiaturę temperamentem. Wtedy żółte zęby matki zgrzytają w uśmiechu, a jej ręce grzebią się w różowej włóczce szala, jak szare łapy kury.

Helena lubi tam popatrzeć na jeden obraz Zaka, na te obłe, utoczone ciała i twarze zielonkawe, niczem limony. Oleisty koloryt pejzażu rzuca cień na podłużne oczy, na usta, które nie są zdolne do mówienia.



## PO OLIMPJADZIE W ST. MORITZ

Korespondencja własna „Bluszczu“.

Położone o tysiąc metrów wyżej, niż Zakopane, okolone rozkoszną panoramą Alp retyckich, słynące z pogody, zakontraktowanej na 360 dni w roku, i słońca grzejącego w marcowe południe do czterdziestu stopni.

St. Moritz posiada jeszcze inne atrakcje, jak na zimową stolicę świata przystało.

Sport i luksus hotelowy pomaga tej drobnej wiosce engadyńskiej odgrywać świetną rolę primadonny sezonu w niemniejszej mierze, niż wszystkie cuda przyrody, jak najszczęśliwego podziwu godne i ofiarowane temu uroczemu zakątkowi dłonią zaiste najhojniejszą.

Cały świat zjeżdża się tu z wszystkich czterech stron na różnojęzyczne i różnoskóre rendez-vous zimowe, pędzi na bobslejach i skeletonach, podróżuje

w góry na nartach i bawi się w curling, śmieszna gra old-boyów angielskich i amerykańskich. Potem siada we wspaniałych salonach hotelowych, weranduje, tańczy i flirtuje.

Każdy niemal hotel ma własne ślizgawki, tarasami wzniesione jedna nad drugą; każdy hotel ma własnych kunsztmistrzów jazdy na łyżwach, popisujących się niezrównaną ekwilibrystyką i prestidigitatorstwem wobec gości, pijących herbatę w improwizowanej na lodzie cukierni. Na zamrożniętym jeziorze urządzony specjalnie tor wyścigów konnych gromadzi na trybunach tysiące widzów. Obok tego osobliwego placu wyścigowego — lotnisko i hangary z awionetkami, startującymi po lodzie. Wielki luna-park rozrywki, jakich tylko zapragnie dusza z pod każdej szerokości i długości geograficznej.





Szesnastoletnia łyżwiarka norweska, niedościgną mistrzyni w jeździe sztucznej, na torze w St. Moritz

W tym roku przybyszów witało St. Moritz, przybrane jeszcze odświętniej i jeszcze wspanialej.

Na wielkich transparentach, ustawionych na każdej wyniosłości, widniały sploty pięciu kół kolorowych — symbol Olimpiady II-gich Igrzysk Zimowych. Plac centralny w uzdrowisku owinięty był całą jedną olbrzymią, po domach, wieżach i słupach ciągnącą się szarfą, o barwach kantonu. Sztandary kantonalne odprowadzały też gości do wszystkich wielkich centrów sportowych, do nowego, specjalnie zbudowanego, stadjonu lodowego, na skocznię, na miejsce startu biegów narciarskich, na tor bobslejowy, wyścigowy itd.

Nadszedł dzień otwarcia Olimpiady — i z uroczystego wyglądu, z szat odświętnych i celebrialnego nastroju — nie zostało śladu. Transparenty leżały na ziemi, poszarpane i zniszczone, wspaniała wstęga kantonalna strzępiła się w tysiącach potarganych gałganów, sztandary na drzewcach zwisły pobite i bezsilne.

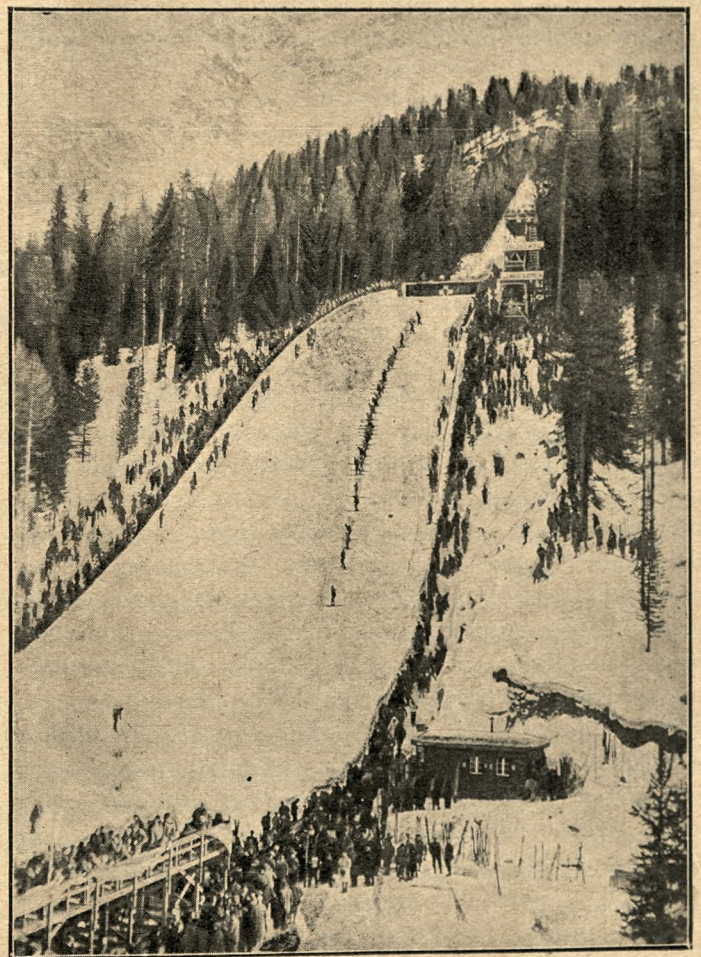
Na Boga! co się stało? — Pięć dni w roku, pozostałych poza kontraktem z pogodą, zbuntowało się, zrewoltowało i wybuchło, jak bomba, rozsadzając wszystkie plany i przygotowania olimpijskie. Nad St. Moritz w noc, poprzedzającą dzień otwarcia Igrzysk, przeszła burza śnieżna, o sile, niepamiętanej od 35 lat. Rankiem, w pięknym stadjonie lodowym, gdy do defilady stanęło 25 sztandarów państwowych i 25 drużyn narodowych, od Argentyny i Kanady począwszy, a na Łotwie i Japonji kończąc, — gwałtowna śnieżycza zdarła z masztu sztandar olimpijski, a szum wichru zagłuszył wołania megafonów.

Sportowcy jednak są poto, by walczyć, i, mimo wszystko — poszli w bój.

Tydzień igrzysk przyniósł uczestnikom, widzom i miłośnikom niezapomniane wrażenia, które przez długie cztery lata, dzielące nas od następnej Olimpiady, będą bogactwem i skarbcem nieskończonych rozważań, doświadczeń i wspomnień. Na lodowym boisku hokejowym rozegrał się turniej najpierwszych w świecie mistrzów tej błyskawicznej, porywającej gry, i oddał laur zwycięstwa Kanadyjczykom, zaprawdę w umiejętności swej niedoścignym i nieporównanym. Wielkie biegi narciarskie, rozegrane wśród niezwykle trudnych warunków terenowych i atmosferycznych, potwierdziły raz jeszcze, że królami nart są Skandynawowie i że nikt im przez długie jeszcze lata pierwszeństwa tego z rąk nie wydrze. Norwegowie, Szwedzi i Finlandczycy, to trójca, walcząca tylko między sobą i na resztę świata patrząca z pobłażaniem i lekceważeniem. W kunszcie łyżwiarskim tenorami są też Norwegowie i Finlandczycy, a szesnastoletnia uczenica gimnazjum w Oslo, panna Sonia Henie, w jeździe sztucznej nie ma sobie równej i równego, jak świat długi i szeroki.

Jak z tej wielkiej wojny sportowej narodów wyszli Polacy? Jaką odegrali rolę?

Wyszli z honorem: walczyli jak równi z równymi. Mając stosunkowo, bardzo niewielki zasób sił,



Skocznia w St. Moritz





*Para łyżwiarzy w St. Moritz*

młody nasz sport zwrócił na siebie uwagę — stwierdzamy to nie dla pustej chwalby — całego świata! Polska drużyna hokejowa, grając z drugą po Kanadzie, a najlepszą w Europie, Szwecją, uzyskała wynik remisowy 2:2, a mecz ten, według zgodnej opinii prasy zagranicznej i widzów, był najbardziej pięknym i ciekawym widowiskiem turnieju. Nazwiska Tupalskiego i Adamowskiego, naszych mistrzów hokejowych, powtarzane są dziś przez usta tysięcy sportowców, jako

synonimy techniki i siły, niespotykanej na kontynencie Starego Świata. Nasi narciarze w gigantycznym biegu na 50 klm., oraz w t. zw. kombinacji skoku narciarskiego i biegu na 18 klm., — zdobyli miejsce, godne zazdrości Szwajcarów, Niemców, Francuzów i dziesiątka innych narodów. Młody uczeń szkoły przemysłowej w Zakopanem, Bronisław Czech, błysnął nieporównanym talentem i, pomimo tragicznego dla nas w skutkach, upadku w skoku, uważany jest za jednego z najlepszych narciarzy Europy.

Jeśli więc dotychczas tylko w jednej hippice zdobywaliśmy sukcesy, które wybijały nas na czoło wszystkich konkurentów i dawały w udziale barwom polskiemu miejsce najpierwsze, — to obecnie w sportach zimowych wywalczyliśmy sobie miejsce w równym rzędzie z innymi, i niewątpliwie niedaleki jest czas, gdy sięgniemy ponad głowami rywali po wawrzyn zwycięstwa.

Olimpiada w St. Moritz była w tym pochodzie młodego naszego sportu etapem bardzo ważnym. Stanęliśmy wobec świata nie tylko dlatego, by świadczyć, że jesteśmy, by manifestować, że istniejemy, lecz przyszliśmy doń, by walczyć, by zdobywać i zwyciężać. A jeśli do zwycięstw jeszcze nie zdołaliśmy dotrzeć — walczyliśmy z elitą najlepszych, bynajmniej od nich nie gorsi, i zdobyliśmy imię, które oznacza siłę i przyszłość jak najpomysłniejszą.

St. Moritz, w marcu.

R.

## Z ŻYCIA EKRANU

(„Czyste” kino. „Symfonia wielkiego miasta”. Film religijny).

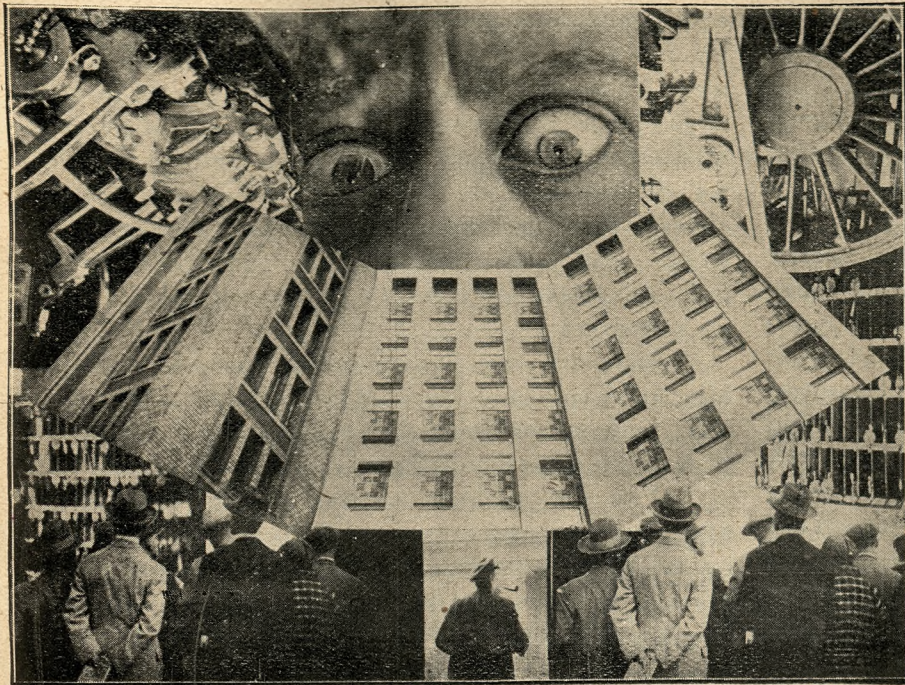
W kinematografii, tak jak i w innych sztukach, istnieją różne rodzaje i różne kierunki. Jedno z warszawskich kin, chcąc iść śladem niektórych kin paryskich, poświęcających swoje ekrany tylko filmom retrospektywnym i eksperymentalnym, zaprezentowało nam poraz pierwszy w Warszawie obraz najnowszej „szkoły”, której hasłem jest tworzenie filmów abstrakcyjnych, opartych całkowicie na wartościach wzrokowo-ruchowych — filmów, których twórcy wypowiadają bezwzględna walkę literaturze, t. j. wszelkiej fabularnej treści. Film p. t. „Symfonia wielkiego miasta” (europejska produkcja amerykańskiej wytwórni „Fox”) jest to szereg autentycznych zdjęć z życia wielkomiejskiego (Berlin), na które często operator musiał długo i cierpliwie „polować” — ułożonych w pewną kompozycyjną całość (od 5 rano do późnej nocy). Statystami są tam poprostu... berlińczycy, grający taką rolę, jaką im wyznaczyło życie, a więc: robotnicy, urzędnicy, telefonistki, szoferzy, ze-

bracy, sprzedawcy uliczni i t.p. Ale nie o nich chodzi — są oni tylko dopełnieniem kamiennych bloków, fabryk, pociągów, samochodów, ulic, maszyn — wszystkiego, co żyje przez nich, lub dla nich.

Pochwycenie rytmu tego życia, uwidocznienie uderzeń stalowego serca miasta — oto cel, jaki postawił sobie realizator (Ruttman).

We wstępnym przemówieniu, poprzedzającym wyświetlenie filmu, J. Wittlin podkreślił epicki stosunek realizatora do tego, jak się wyraził, „najbardziej zamerykanizowanego miasta Europy”, miasta, pozbawionego historii, tradycji i wdzięku. Osobiście, nie odniosłam tego wrażenia. Przecież nawet w takim mieście, jak Berlin, można znaleźć trochę piękna „europejskiego”, trochę romantyzmu. Widocznie realizator zupełnie rozmyślnie unikał wszystkiego, co psułoby nastrój, że się tak wyrażę — mechaniczny, a więc zajął w stosunku do materiału, jakim rozporządzał, pewne określone stanowisko. Jego Berlin, względnie





„Symfonia wielkiego miasta“

jego miasto, to jakiś apokaliptyczny potwór, wysysający z ludzi wszelką radość życia, robiący z nich automatyczne mechanizmy, działające sprawnie w zaklętym kręgu jego panowania. Nawet zabawa, nawet sport — wszystko wtłoczone jest w ramy jakiejś narzuconej żelaznej woli i przesiąknięte zatrutym oparem Miasta.

Z początku widz jest olśniony nadzwyczajną precyzją zdjęć i doskonałością montażu. Wzajemny stosunek linii, brył, płaszczyzn, kół, trybów, walców, plam świetlnych i cieni — wszystko to bawi oko. Po pewnym czasie następuje znużenie: przestajemy reagować nawet na takie efekty, które w innych filmach, nie abstrakcyjnych, zwykle nas zachwycają (miasto w nocy). Brak pierwiastku emocjonalnego wywołuje widocznie pewne stępienie nawet na piękno czysto kinowe — ci wszyscy bezimienni i bezosobowi ludzie, ta cała masa energii, na której wyładowanie patrzymy, a której celu nie widzimy, to perpetuum mobile linii geometrycznych, szyn, pociągów, dworców — zaczyna nas nudzić, a nawet irytować. Z chwilą, gdy wzrok nasz przestał reagować na specyficzną rozkosz ruchu (a następuje to dość prędko) — stajemy się bierni. A przecież bierność jest zaprzeczeniem działania wzruszeniowego sztuki. Kino musi dopuszczać widzów niejako do współtworzenia, musi pozwolić zająć im jakieś zdecydowane stanowisko wobec tego, co się dzieje na ekranie. „Czyste“ kino nie daje tych możliwości. To też kierunek ten jest bezwzględnie interesujący, jak każda próba przełamania utartych kanonów, możliwe nawet, że wpłynie na pewne zmiany w twórczości filmowej, ale — przynajmniej w tej formie, w jakiej go dziś widzimy — nie zapowiada jeszcze tego przełomu w kinematografii, o jakim mówią, a raczej marzą awangardiści.

A może się mylę? Może za 20 lat będziemy się tak samo śmieli z naszych współczesnych „arcydzieł“, jak śmieliśmy się na wyświetlanych jednocześnie z „Symfonią“ „wstrząsających dramatach“ z przed lat 20, które pewnie wycisnęły niejedną łzę z oczu ówczesnych widzów.

Mimo wszystko jednak „czyste“ kino jest tem wobec twórczości naprz. Cecil B. de Mille'a, czem jest interesujący futurystyczny obraz wobec wielkiego malarstwa Odrodzenia. Przedstawicielem kierunku religijnego w kinematografii jest właśnie twórca „Króla królów“. Do tego, ażeby porwać się na stworzenie filmu, ilustrującego życie Chrystusa, trzeba nielada odwagi (ze wszystkich stron piętrzą się niebezpieczeństwa zarówno natury moralnej, jak artystycznej). Jak dotknąć świętości i nie sprofanować jej? Jak uniknąć tego, co mogłoby zadrasnąć

uczucia religijne ludzi różnych wyznań? Jak, wreszcie, postawić film na takim poziomie artystycznym, ażeby przemówił nietylko do wyobraźni ludu, ale też — i publiczności, bardziej pod tym względem wymagającej? Film Mille'a przepojony jest tak głębokim nastrojem religijnym, że nie może nie podzielać nawet na widza najbardziej obojętnego na zagadnienia wiary. (Przypuszczam, że dla Mille'a tworzenie tego obrazu było takim samym hymnem wiary, jak dla Bacha — tworzenie oratorjów, a aktorzy byli przejęci tym samym duchem, co aktorzy przedstawień pasyjnych w Oberammergau).

Można się, oczywiście, nie zgadzać na taką lub inną interpretację postaci, które w naszej wyobraźni inaczej ukształtowała tradycja. Naprz. nie wiemy, dlaczego Judasz jest tu piękny, bogato ubrany i jakiś „zromanizowany“. Tak samo nie możemy się pogodzić z postaciami kobiecimi, które — co w filmie amerykańskim jest przecież rzadkością — są dziwnie pozbawione prostoty. Nie osłabia to jednak siły napięcia, z jakim rozwija się przed naszymi oczami dramat Człowieka-Boga. Mille jest mistrzem w scenach zbiorowych, ugrupowaniach i przedziwnych oświetleniach, to też po tem, co nam pokazał do sceny Zmartwychwstania — scena przy Grobie przynosi nam rozczarowanie: jest ona jakgdyby koncesją na rzecz tych, którzy wolą kolorowe dewocjonalja, sprzedawane na odpustach, od religijnych obrazów wielkich mistrzów.

W każdym razie „Król królów“ przekonywa nas, że kino jest dziś może jedyną sztuką, która może stać się także sztuką kościelną i być tem dla nas, czem w średniowieczu były misterja, a za czasów Odrodzenia — malarstwo.

Stef. H.



## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Trzy jednoaktowe premjery w operze: „Pulcinella“ — Strawińskiego, „Tajemnica Zuzanny“ — Wolff-Ferrarię i „Kurant czarodziejski“ — Pich-Mangiagalli'ego.

Igor Strawiński zdobył, mówiąc językiem sportowym, „mistrzostwo świata“ w dziedzinie współczesnego baletu, a muzyka jego jest charakterystycznym przejawem współczesności, która w podobnych zarysach odzwierciedla się zarówno w sztuce, jak i literaturze. Młody jeszcze i ogromnie zdolny kompozytor rosyjski nadał muzyce swojej cechy zupełnie odrębne, a tak indywidualne, że, niezależnie od tła, wskazują one na pochodzenie nieodrodnego właściwości twórczych autora „Pietruszki“. Gdy melodia muzyki współczesnej waha się w niezdecydowanej linii, a forma jej nie skryształizowała się jeszcze w dość wyrazistych konturach, Strawiński inwencją swoją ograniczył do barwy w instrumentacji i współczesność muzyki sprowadził do błyskotliwych, promieniających życiem, niepokojących w rytmie i harmonji i wiernych w odbiciu zmiennej dzisiejszości — skrótów frazy muzycznej, o niezaprzeczonych, pulsujących talentem, największych wartościach misternej architektoniki orkiestrowej. I obojętną jest rzeczą, czy Strawiński, dla zabarwienia swojej orkiestry, sięga do ludowych motywów rosyjskich, czy do granego przez katarynkę na podwórzu walca Straussa i Lannera, czy też do pierwowzorów rokokowej muzyki, do „commodii dell'arte“ Pergolesa, — bo zarówno jarmarczny, rosyjski pajac „Pietruszka“, jak i typowy, włoski pierrot „Pulcinella“ ukażą się nam zawsze w ramach reflektorów świetlnych, olśniewających kontrastowością barw instrumentalnych. Siłą muzyki Strawińskiego jest barwa i rytmika, i w tem tkwi jego inwencja twórcza, niezależnie od obcych tematów, któremi w groteskowy sposób bawi się autor „Pulcinelli“, każąc postaciom w „commodii dell'arte“ tańczyć gawota, przy akompanjamencie instrumentów blaszanych i smyczkowych, zespolonych w istic demokratycznej równości, zachowując zresztą wiernie dawną formę w oparciu o technikę orkiestrową, „à la mode“.

Kolebką „Pulcinelli“ była Florencja; stąd wyszedł w świat szeroki, nieśmiało z początku zakropiony muzyką, zawsze w otoczeniu swej Pimpinelli, Kolombiny, Carminy, nieodłącznego doktora z Bolonji i zazdrosnych rywali; zjawiał się zawsze w akcji naiwnej, dostosowanej do smaku niewybrednej publiczności, daleki jeszcze od satyry przyszłej opery „buffo“, której początek dał Giovanni Pergolesi. Strawiński nie zaznaczył stylu „Pulcinelli“, a klasycznie konwenan-

sowej muzyce zostawił jej właściwą formę archaiczną, nawet z oryginalnym zespołem wokalnym i śpiewem solowym w orkiestrze, dla podkreślenia mimicznego tekstu „commodii dell'arte“. Genjalnym przeprowadzeniem koncepcji Strawińskiego było jedynie nowe, dostosowane do nastawienia współczesnego słuchacza, brzmienie muzyczne o świeżej barwie dźwiękowej, nadającej staroświeckim melodjom żywotność, sięgającą od czasów wczesnego rokoka — aż po naszą erę.

Małą orkiestrę Strawińskiego prowadził dyrektor Młynarski sprawnie i przejrzyście; tercet dobrze śpiewał, jedynie realizacja baletu, z wyjątkiem Parnella (Pulcinelli), nie wychodziła poza ramy utartego szablonu.

Ten sam szablon na staromodny fason skrojonych ewolucyj tanecznych towarzyszył drugiemu baletowi jednoaktowemu p. t. „Kurant czarodziejski“, którego autorem jest kompozytor współczesny, Pich-Mangiagalli. Muzyka „Kuranta“ jest błyskotliwa, barwna, o melodiach przeważnie walcowych, lekkich, nie nużących, kapryśnych, efektownych i wybitnie baletowych, które zreżymie bardzo podkreślała dyrekcja Młynarskiego.

Jako intermezzo dwu baletów, trzecią premjerą była „Tajemnica Zuzanny“ Wolffa-Ferrarię. Przed trzydziestu laty temat tej lekkiej komedijki muzycznej był bardzo aktualny, a ponieważ faktura orkiestrowa odznacza się dużą maestrią i programowym humorem muzycznym — opera ogólnie podobała się bardzo. Wolff-Ferrari, pół-włoch, pół-niemiec, autor opery „Le donne curiose“ i „Klejnoty Madonny“, jest eklektykiem muzycznym i doskonałym znawcą sceny. Ale „Tajemnica Zuzanny“, która miała swój smaczek w zakazanym dymie papierosa i ukrywaniu nałogu palenia, jako rzecz zdrożnej i nieprzyzwoitej, jest już dziś śmiesznym anachronizmem, wobec salonowych licencyj, z którymi nie ukrywa się współczesna kobieta. „Tajemnica Zuzanny“ ma jednakże muzykę ogromnie żywiołową, dowcipną, dostosowaną do lekkiego tonu komedji i wybuchową, w miarę rosnącej zazdrości męża Zuzanny, z równie błyskotliwą, jak żywą wymianą zdań na scenie, napisaną z prawdziwie włoskim temperamentem. A więc współczesny styl „buffo“ z pokutującą starowłoską kantyleną, osnutą na kanwie niedawnej aktualności, ale świetnie przeprowadzoną, ni by ciągle wspomnienie jakiegoś Rossiniego, Belliniego, czy Mozarta.

Soliści świetnie wywiązali się z zadania; pełna wdzięku, dobrze grała i śpiewała p. Bandrowska-Turkska i doskonale sekundował jej p. Romejko. Orkiestrę żywo prowadził dyr. Dołżycki.

Trzy jednoaktówki, zreżymie dobrane, weszły, jako miła nowość, do repertuaru opery. P. L.





## Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY:

„W a l k a”, dramat w 7 obrazach *Stefana Krzywoszewskiego*. Reżyserja *Emila Chaberskiego*. Dekoracje *Wincentego Drabika*.

Przyznaję, że szłam na tę premierę z tajonym lękiem i z nawecowaną złośliwie brzytwą krytycyzmu. Nastawienie moje do sztuki było naslepo nieprzychylne. Cóż to za próby i eksperymenty?! Szukać nowych strun na romantycznej harfie „Warszawianki” i „Nocy listopadowej”? Mieć odwagę podejść do tematu powstania po Wyspiańskim, który swoim Nike zwycięskim kazał oprzeć znużone skronie na kolumnach Belwederu? Czy to czasem nie jeszcze jedno niefortunne porywanie się z motyką na słońce?

Kurtyna poszła w górę. A kiedy zapadała po pierwszej odsłonie, kiedy ręce leniwo zazwyczaj rozgrzewającej się publiczności premierowej zgodnie złożyły się do oklasku, kiedyśmy ze zdziwieniem spoglądali na siebie: — Jakto? to naprawdę napisał Krzywoszewski? — wówczas uświadomiłam sobie nagle, że słońce powstania wcale nie zgasło, a pióro, z którym na nie porwał się autor, nie jest może uskrzydłone wichrami natchnienia, ale też nie ma nic wspólnego z przysłowiową, a fatalną motyką.

Krzywoszewski, doświadczony, rzetelny majster teatralny, dobrze obliczył swe siły i zważył możliwości, zanim jął się pracy. Z nagromadzonego materiału wybrał bogactwa dotychczas niewyzyskane, skarby utajone, i zagrał na nich po swojemu, z doskonałą znajomością sceny i psychiki widzów.

Wyspiański patrzył na powstanie z lotu ptaka — Krzywoszewski spojrzął na nie przez pryzmat dnia dzisiejszego. Wyspiański z żywiołowością, właściwą swemu genjuszowi, wydobyl z listopadowego misterjum tony kosmiczne — Krzywoszewski dojrzał w niem zwoje mózgu i sploty namiętności. Wyspiański dał poetycką syntezę powstania — Krzywoszewski, jak chemik, rozłożył je na elementy. Dla Wyspiańskiego powstanie było gejzerem uczuć, tryskających pod ciśnieniem sił niewiadomych — dla Krzywoszewskiego jest fontanną, uruchamianą dzięki sprawnie działającym tłokom i pompom racji stanu i konieczności dziejowych. Wyspiański mierzył epokę i ludzi kątem entuzjazmu — Krzywoszewski ściągnął gwiazdy, meteory i pioruny na płaszczyznę rozumu.

Rezultat wiadomy: Wyspiański pozostanie zawsze zaklętym pałacem wielkiej poezji, ukrytym w lesie komentarzy, oddzielonym od przeciętnej publiczności manowcami niezrozumienia, — gdy tymczasem Krzywoszewskiego „Walka” będzie poprostu sztuką kasową i napewno wejdzie do żelaznego repertuaru przedstawień popularnych i rocznicowych.

Polityka kompozycyjna Krzywoszewskiego jest jasna i świadczy o dużym wyrobieniu i świadomości zarówno terenu, jak granic własnego zasięgu. Z cha-

osu wypadków listopadowych rozmyślnie odrzucił łupinę faktyczną, pofałdowaną, pstrą, nieobliczalną. Sięgnął od razu do jądra sprawy, gdzie samotrawiły się wszystkie gorycze i jady walk wewnętrznych, tocząc ziarno powstania wprzód, nim wróg strzaskał łupinę, już pustą.

Z dna tego piekielnego kotła wydobyl na jaw dwie postacie: Lubeckiego i Mochackiego — dwóch ludzi, każdy z jednej bryły, tak biegunowo odmiennych w założeniach ideowych i sposobie działania, tak wzajemnie się uzupełniających i kontrastowo zwartych, że zmieścić się pomiędzy nimi mogła tylko nienawiść, — tak żywo ucieleśniających przeciwne sobie prądy, że stali się niemal symbolami, i dzisiaj jeszcze możnaby imiona ich zatknąć na barykadach, jak dwa wrogie sobie sztandary. Granit i płomień, mąż stanu i duch — wieczny rewolucjonista — zwalczający się nawzajem w fatalnym chwycie, który zdusił gardło ojczyzny, zamiast dać jej odrodzenie w miłosnym uścisku.

Bowiem dopiero te dwa pierwiastki, przetopione w jedno, dają w sumie nowy związek chemiczny, któremu na imię „Polska”. Ale żeby się to stać mogło, trzeba było niejednej krwawej kąpieli, niejednego oczyszczenia w ogniu!

Mniejsza o to, że na tym całym warsztacie pedagogii historycznej pewne nici dziejowe uległy naciągnięciu i przefarbowaniu, gwoli tem lepszemu wydatnieniu wątku dramatycznego, który przy bliższym rozpatrzeniu zatracą cechy istotnego dramatu. Mniejsza o to, że poza dwiema naczelnymi postaciami, inne osoby są zrobione banalnie, lub nieopatrnie wysunięte na pierwszy plan, jakby to one prowadziły akcję, wzorem Moljerowskich subrettek (Tekla Platerówna). Mniejsza o to, skoro pewne błędy budowy ratuje nieomylny instykt teatralny, umiejący nawet na bezrybiu wyłowić efektowną pointe’ę i umieścić ją na właściwym stanowisku, t. j. na końcu każdej odsłony.

Dodajmy, że dwie naczelne postacie miały znakomitych reprezentantów w osobach Zelwerowicza i Węgrzyna, a operowanie tłumami przynosi chlubę reżyserji p. Emila Chaberskiego. Węgrzyn miał świetną maskę, a jeśli chwilami zdradzał tendencję do namiętnego zgrywania się, to można mu to poniekąd wybaczyć, ze względu na demagogiczny charakter roli. Brydziński miał powagę mędrca, jako Lelewel. Majdrowiczówna — jako Tekla Platerówna — wyglądała przesłicznie w stylowych sukienkach. Trudno jej było lawirować między trzpiotowatością, a głębią uczuć, o których jej rezonersko kazał deklamować autor, ale nadrabiała urodą i wdziękiem, co jej przyszło bez wielkiego wysiłku. Wobec tego, że pewne pisma utożsamiały ją z historyczną Emilją Plater, radzimy dokładnie zapoznać się z afiszem, no i wniknąć nieco w charakter postaci miłego i czupurnego hajduczka, o główce romantycznej i złotem serduszku, któremu jednak daleko do prawdziwego bohaterstwa.

S. P. O.



# Kobieta w świecie i w domu

## JAK ZAPOBIEC NADPRODUKCJI INTELIGENCJI

Nigdzie chyba w Europie liczba bezrobotnych ze sfer inteligentniejszych nie dosięga cyfry tak zastraszającej, jak w Niemczech! A oto znowu na wiosnę roku 1928 jeszcze 1½ miliona młodzieży szkolnej otrzyma patenty dojrzałości, wyrzuci w świat i powiększy armję niefortunnych, którzy pragną i muszą pracować, a nie mogą znaleźć dla siebie żadnego zajęcia.

Aby powstrzymać nadchodzącą katastrofę, Związek Kobiet pracujących w Handlu i Biurowości wystosował do Rządu podanie z projektem, by tych młodocianych zatrzymać jeszcze na rok studiów, w celu lepszego wykształcenia teoretycznego i zawodowego, a z drugiej strony — przeczekania tego roku, który dla rynku pracy ma być przełomowym.

Projekt Związku Biuralistek spotkał się z gorącą aprobatą w całym społeczeństwie niemieckim i zyskał poparcie ze strony Związków Zawodowych Robotniczych i Nauczycielskich.

## PROPAGANDA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO W NIEMCZACH

W Niemczech wre gorączkowa praca nad udoskonaleniem wychowania fizycznego młodych dziewcząt, podjęta przez Komitet Wychowania Fizycznego, którego przewodniczącą jest dr. Elza Matz, dyrektorka seminarjum nauczycielskiego w Szczecinie. Zakładają się więc wazędzie za miastem boiska kobiece, kluby gimnastyczne, kursa sportowe. Zwoływane są co parę tygodni specjalne kongresy, podczas których uchwalane są rozmaite metody i środki, mające na celu najracjonalniejsze przeprowadzenie tego działu wychowania.

Dla córek robotników, dla całej armji ekspedjentek sklepowych i dziewcząt, pracujących w zakładach krawieckich — porobione są najdalej idące ustępstwa i ulgi przy zapisach do klubów sportowych i na kursa gimnastyczne.

Przykład, godny naśladowania!

Policja w Niemczech liczy obecnie 95 funkcjonariuszek w służbie czynnej — z nich 25 przypada na Berlin (dyrekt. berlińskiej policji kryminalnej jest F. Wiekling), 18 policjantek pracuje we Frankfurcie n/M., — 3 w Kolonji, reszta — w Hanowerze, Magdeburgu, Hamburgu, Dreznie i t. d., pozostając stale w bezpośredniej łączności z miejscowymi biurami ochrony kobiet. H. S.

## PRECZ Z TRUJĄCEMI GAZAMI

Rada Narodowa Polek (podaje „Kur. Warsz.“) na walnem zebraniu uchwaliła prosić Radę Międzynarodową Kobiet o złożenie projektu do Ligi Narodów przeciw używaniu gazów trujących podczas operacji wojennych.

Kobiety wszystkich krajów i narodowości powinny protestować energicznie przeciw tej okrutnej formie walki, przyczyniającej się do zguby tysięcy niewinnych ofiar, oraz potęgującej jeszcze bardziej grozę każdej wojny. Kobiety w imię hasła humanitarnych winny wśród swego społeczeństwa, a przedewszystkiem wśród młodzieży szerzyć poglądy o niedopuszczalności wojny gazowej.

Rady Narodowe Kobiece we wszystkich krajach powinny zwrócić się do rządów o popieranie tego stanowiska przez przedstawiciela danego kraju przy Lidze Narodów.

## CZY KOBIETY NADAJĄ SIĘ NA SZOFERÓW

Oczywiście...

Tego zdania jest pewien inżynier amerykański M. Bradgen, który w „The New York Herald“ umieścił niedawno niezwykle ciekawy artykuł, ilustrowany tablicami statystycznymi, o kobietach-szoferach i o wypadkach automobilowych.

Mr. Bradgen pisze: „Kobiety posiadają wyjątkową intuicję, która każe im zawsze zahamować motor w momencie niebezpieczeństwa. Prócz tego kobiety, z natury nieśmiałe, lękające się ryzyka, a ostrożne, nie lubią brawury tam, gdzie sprawa może zakończyć się tragicznie“. Dlatego zapewne, dane statystyczne, zebrane przez pana Bradgena w samym tylko Nowym-Jorku, wykazują, że naogół wypadki przejechania kogoś, lub rozbicia maszyny przez kobietę-szofera zdarzają się bardzo rzadko!

„Piękne panie nadają się więc znakomicie na szoferów, ba! gdyby szoferkami w wielkich miastach były tylko kobiety, wykwalifikowane odpowiednio, wypadki automobilowe nie zdarzałyby się nigdy!“ — kończy swe wywody autor entuzjastycznym wykrzyknikiem pod adresem płci słabszej. H. S.

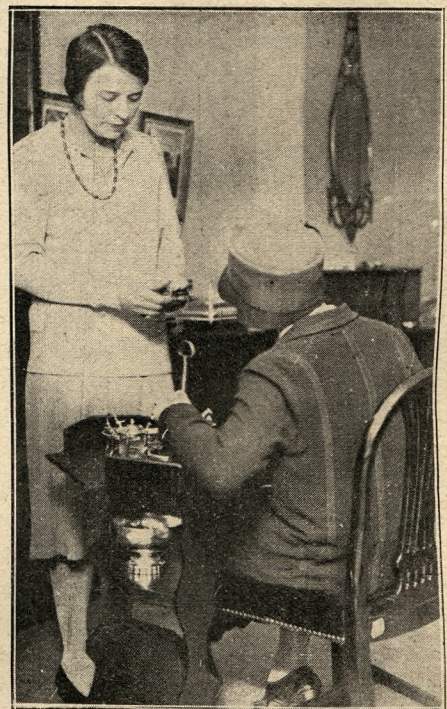
## HINDUSKI EMANCYPUJĄ SIĘ CORAZ WYRAŹNIEJ

Najjaskrawszym dowodem ruchu kobiecego w Indjach może posłużyć fakt, że w roku ubiegłym już kilkadziesiąt hindusek ukończyło uniwersytet w Bombaju.

W roku 1927 zostało też założone pierwsze pismo kobiece w Indjach p. t. „Griha Lutmi“, czyli „Pani Domu“. Założycielkami były panna Tara Filak z wykształceniem socjologicznym, i panna Anandkar, znana pedagogiczka.

Wszystkie współpracowniczki tego pierwszego tygodnika kobiecego, mającego na celu nauczanie kobiet indyjskich racjonalnego i higienicznego prowadzenia gospodarstwa, oraz chowania dzieci — mają wykształcenie uniwersyteckie.

Należy się więc spodziewać, że „Pani Domu“ będzie w niedalekiej przyszłości jednym z najlepiej prowadzonych pism kobiecych.



Kobiety znakomitych rodów biorą się do handlu. Hr. Karoly (żona b. premiera węgierskiego) jako sprzedawczyni w sklepie starożytności.



## UCZCIWOŚĆ ZAWODOWA

Uczciwość zawodowa, jeżeli istniała u nas wogóle w lojalnym i szerokim tego słowa znaczeniu, przechodzi od czasu wielkiej wojny niebezpieczny kryzys. Kryzys ten zresztą nie datuje, jeżeli sądzić będziemy skrupulatnie, od czasu, kiedy egzystencja ludzka zaczęła się kształtować pod takt, bliżej, czy dalej grających armat. Datuje się on jeszcze z przed wojny; ona jednakże, ta wojna właśnie, zaostriła i wyjaskrawiła jego symptomy, dając im nadnaturalną pozycję. Każda wojna, bowiem, przyczynia wiele krzywd materialnych i moralnych, tak zwyciężonym, jak i zwycięzcom. Stanowi zawsze o upadku obyczajów, zbliża człowieka do zwierzęcia, przyczynia się do łatwego zastąpienia uczciwości—instynktem. Jutro—to jutro, które budzi się do życia po krwawej wojnie, wyrabia ten właśnie instynkt, który każe brać życiu odwet za zniwo śmierci. Instynkt ten nie zna ograniczeń, przelewa się wprost przez brzegi. Im trudniejsze stają się warunki życia, tem wszechwładniej rządzi on ludźmi.

Trzeba przyznać, że era powojenna obfituje w trudności. Likwidacja każdej wojny przytłacza ciężarem egzystencję tak mas, jak i jednostek. Nadmierne podatki, spadek waluty, zmniejszenie realnej wartości dorobków całego niemal życia uciążliwej pracy—grają tutaj rolę pierwszorzędą. Chwila ta sprzyja rozpaczliwemu rzucaniu się w wir wszelkich, niebezpiecznych nieraz, spekulacji i kombinacji. Trzeba zdobyć za wszelką cenę wielkie sumy, aby podołać wzmagającym się z dnia na dzień potrzebom chwili. Moralność nie może w takich warunkach nie ponieść uszczerbku, i stąd znów ta gorączkowa gonitwa za oszołomieniem, głód silnych wrażeń, szalony pęd, niezdrowe tempo życia, ztracanie samego siebie.

W jednym z poważnych pism francuskich spotkałam artykuł, rozstrząsający te bolączki, które, jak widać, noszą na sobie cechy międzynarodowe, jak międzynarodową była tragedia wielkiej wojny i wszystkie jej opłakane następstwa.

„Kupiec?—nie posiada dziś innych trosk, nad troskę zbitcia w krótkim czasie fortuny, nad której zebraniem ojciec jego pracował dawniej całe życie. Finansista?—nie cofa się przed żadną hazardową operacją, spekuluje, zbiera, a jeżeli przegra stawkę—kradnie. Adwokat?—przyjmuje każdą sprawę, broni najniegodziwszych, byle mu klient wniósł najwyższe honorarium. Pisarz, artysta?—ma tylko jeden cel: skomercjalizować swój talent, służyć najwięcej dającemu, gonić za reklamą, pochlebiać w imię powodzenia, najniższym instynktem ludzkości. Polityk?—rozdziela łaski i żyje z nich, nie ma innych zapatrywań nad te, które pomagają mu do wznoszenia się wyżej i coraz wyżej—zapatrywań, za które płacą mu coraz więcej i więcej. Rzemieślnik?—zatracił umiłowanie swego zawodu, umiłowanie pracy, szczytającej się precyzją wykoń-

czenia, nienagannością. Pracuje, jak maszyna, czekając przytem z utęsknieniem chwili, kiedy maszyna podejmie się za niego całkowitego trudu.

Finałem tych gorzkich słów jest jednak wiara, że zło nie stoczyło społeczeństwa w sposób nieodwołalny, że wszyscy wchodzący w życie ludzie, ludzie młodzi, na których spoczywa wielka odpowiedzialność za przyszłość narodu—nie są przecież jednostkami o przewrotnym sumieniu, że pod niebem Francji rodzi się jeszcze, i żyje, i trwa dobro i piękno; że przyjdzie dzień, w którym weźmie odwet za długie i gorzkie pohańbienie. Albowiem w zarażonym tłumie zdarzają się jeszcze artyści, o czystym, wspałym, nieprzedajnym talencie; pisarze, niezależni od zewnętrznych wpływów ogólnej korupcji, niezdolni pisać wbrew własnemu sumieniu; lekarze, którzy nie są szarlatanami... Uczciwość zawodowa nie umarła. Jest, niby dusza w odlocie, która zawróci jednak w pół drogi. Rwący potok zepsucia powróci do dawnego łożyska, a świat, zamulony powodzią, wskrzesnie do nowego życia pod sztandarem sprawiedliwości!”

Tyle—francuzi. A my? Czy wszystkie te zarzuty, rzące się z pod pióra obcego polemika, godzą i w nasze sumienie? czy też wolno nam czytać je z uśmiechem smętnego współczucia dla współbraci, bez gorzkiego wyrzutu sumienia, jaki budzi do życia bolesna prawda, wypowiedziana bez obłonek?

Kto nie zaskorupia się w ciasnym kręgu swojego prywatnego życia, patrzy i widzi, czuje i rozumie—musi, niestety, powiedzieć, że i u nas nie było i jeszcze dzisiaj nie jest wiele lepiej!

Zostawmy na boku ciężkie zarzuty, skierowane do jednostek, przodujących społeczeństwu. Wszędzie, na każdym stanowisku są ludzie złej i dobrej woli, są ci, co budują i ci, co burzą. Ale przyjrzyjmy się sprawom codziennym, sprawom małej wagi, które jednak składają się na całokształt rzeczy wielkich, na zło, lub dobro tego właśnie codziennego życia. Bo uczciwość zawodowa, to nie tylko uczciwość pisarzy i artystów, polityków i wielkich finansistów, prawników, lekarzy i całego zastępu ludzi o wyższym wykształceniu i wyższej kulturze, przodujących społeczeństwu. Uczciwość zawodowa, lub brak tejże uczciwości—to przejaw, spotykany na każdym niemal kroku, w życiu rodzinnym, w szkole, w handlu, w stosunkach pracodawcy do pracobiorcy, w stosunku rodziców do dzieci i dzieci do rodziców—wszędzie, wszędzie. W niektórych przejawach należałoby jej może nadać nieco zmodyfikowane miano, nazywając poczuciem, lub spełnieniem obowiązku—treść jednak pozostanie ta sama.

(d. n.)

W. D.





## O KOPANIU

Wśród robót ogrodniczych do najcięższych bezspornie należy kopanie ziemi: praca mało inteligentna, mozolna i powolna, nie da się jednak usunąć z programu robót, ponieważ nie wszędzie pług może wjechać tam, dokąd dotrze człowiek, uzbrojony łopata, i nie zawsze orka zastąpi kopanie ręczne. Pług, nawet dobrany odpowiednio do warunków ziemi i dobrze obsłużony, odwróci skibę, ale nigdy jej nie pokruszy tak, jak to robi łopata w ręku dobrego ogrodnika, i dlatego osiadanie ziemi, zwieranie się dolnych warstw i wogóle wszelkie procesy „wydobrzenia roli“ idą po przeoraniu o wiele powolniej, aniżeli po przekopaniu; różnicę tę, często zupełnie nieświadomie, odczuwają ogrodnicy-praktycy i dlatego niejednokrotnie stosują drogą robotę ręcznego kopania nawet tam, gdzie mógłby pracować o wiele tańszy pług.

Nie mogąc zatem usunąć z ogrodnictwa kopania ręcznego, należy przynajmniej dążyć do tego, ażeby praca ta pochłaniała jaknajmniej wysiłku ludzkiego, a zato dawała najlepsze rezultaty; w tym celu należy dobrać odpowiednie narzędzia. W praktyce dotychczasowej stosują: 1) łopaty drewniane z okuciem żelaznym, 2) szpadle całe żelazne różnych kształtów i 3) widły amerykańskie. Przyjrzyjmy się bliżej pracy tych narzędzi, ażeby zrobić pomiędzy nimi odpowiedni wybór.

Pracę kopania możemy rozdzielić na trzy czynności: 1) wbijanie łopaty w ziemię, 2) odrywanie odciętego sztychu i wyważanie, i 3) rzucanie podniesionego sztychu, w celu odwrócenia i pokruszenia. Chcąc, ażeby kopanie było łatwe, a dawało dobre rezultaty, trzeba dobrze wykonywać każdą z tych czynności.

Czynność pierwsza—wbijanie łopaty w ziemię—odbywa się w ten sposób, że nogą naciskamy grzbiet łopaty, dopóki nie wbijemy jej do odpowiedniej głębokości. Łopata działa tu, jak klin, opór więc można wyliczyć na tej samej zasadzie, co i przy klinach: będzie on tem większy, im grubszy grzbiet klina, a bardziej tępe jego ostrze. Z pośród wspomnianych typów, największy, ma się rozumieć, opór będzie drewnianej łopaty, ze względu na jej grubość; łopaty, zakończone skośnie, łatwiej będą wchodziły w ziemię i rozcinały napotkane korzonki, niż szpadle, zakończone linją równą. Najmniejszy zaś opór będą przeciwstawiły widły amerykańskie, złożone z kilku oddzielnych i łatwo wnikających w rolę zębów, pod których naciskiem i korzonki i kamyki będą się usuwały na bok.

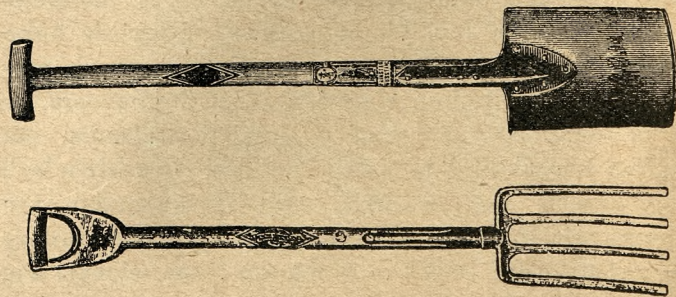
Ponieważ przy wbijaniu łopaty w ziemię zazwyczaj nietylko naciskamy nogą, ale dopomagamy sobie ręką, więc też nie bez pewnego wpływu na całość pracy pozostaje fakt, czy rękojeść zakończona jest gładką poprzeczką, czy też jest ścięta nierówno.

O wiele większe jednak znaczenie ma rękojeść przy następującej czynności: wyważaniu odciętego sztychu; tutaj, naciskając na rękojeść szpadla, działamy

na podstawie prawa o dźwigni, a więc im dłuższa rękojeść, tem mniejszy będzie wysiłek, niezbędny do wyważenia ziemi, ale tem silniej musi się kopacz nachylać do ziemi; to też jednakowo męczące jest kopanie zapomocą szpadla o zbyt krótkiej, jak i zbyt długiej rękojeści. W teorii długość ta powinna zależeć od wysokości kopacza, w praktyce robi się ją równą, od 70 do 100 cm, niezależnie od tego, w czyje ma się dostać ręce. Grubość rękojeści, poza mocą, powinna uwzględniać wygodę kopacza, a więc nie powinna być nadmierna i przekraczać 3—3½ cm. w średnicy; nie mniej ważne jest żądanie, ażeby rękojeść była wszędzie równa i gładka, bez sęków i zadziór, które bynajmniej nie dopomagają w pracy.

Co się tyczy różnic pomiędzy podanymi wyżej typami, to wszystkie bez wyjątku łopaty i szpadle mają przy wyważaniu sztychu opór prawie jednakowy, gdyż nieznaczne różnice kształtu samej łopaty nie mogą wywołać znacznych różnic oporu; jedynie opór widel amerykańskich mógłby być trochę większy, ponieważ nie oddzielają one całkowicie sztychu od reszty ziemi, i wyważanie musi być połączone do pewnego stopnia z oddzieraniem każdego sztychu; opór ten jednak nigdy nie jest znaczny i sam przez się nie może obniżać wartości tego narzędzia, tembardziej, że oddzieranie musimy uważać za wielce pożądane ze względu na ostatnią czynność — pokruszenia roli.

Czynność ta przy zwykłych łopatach i szpadlach odbywa się w ten sposób, że każdy sztych rzucamy zgóry z pewną siłą, ażeby, padając, załamał się i pokruszył; na ziemiach lekkich i dostatecznie kruchych wystarcza to całkowicie; ale na ziemiach ciężkich i spoistych, a szczególnie wilgotnych, niejednokrotnie trzeba jeszcze dodatkowo uderzać łopata w odwróconą już rolę, ażeby ją jako tako pokruszyć. Dopomóc sobie tu poniekąd można, wybierając odpowiedni kształt łopaty, a mianowicie: sztychy głębokie, a wąskie kruszą się o wiele łatwiej, aniżeli płytkie, a szerokie, to też łopaty drewniane, które zazwyczaj odznaczają się szerokością, pracują tu gorzej od wąskich szpadli żelaznych. W znacznie większej jeszcze mierze można sobie ułatwić pracę, zastępując szpadle opisanymi wyżej widłami; zaznaczone przy wrywaniu sztychu odrywanie ziemi najskuteczniej pomaga do pokruszenia sztychu z dwóch względów—po pierwsze:



Szpadel żelazny i widły amerykańskie



wszelkie korzonki i rozłogi perzu, które zazwyczaj bardzo energicznie dopomagają do powiększenia spoiwości i zwięzłości roli, obecnie, nie rozcięte przy wbijaniu widel w rolę, będą się wywlekały z ziemi i tem samem już dopomagały do kruszenia. Po drugie: przy wyważaniu zęby widel nie cisną na całą powierzchnię odciętego sztychu, więc cząsteczki roli starają się przedostać pomiędzy niemi i cały sztych załamuje się i kruszy. To też wszędzie, gdzie chodzi nietylko o odwrócenie roli, lub o usunięcie ziemi, widły amerykańskie oddają nieocenione usługi.

Nie należy zapominać, że dobre kopanie powinno dawać rezultaty lepsze, aniżeli przeoranie tegoż kawałka roli, a wyższość ta powinna polegać na lepszej pulchności ziemi, do czego nieodzownym warunkiem jest dokładne pokruszenie przekopywanej roli.

Pług dobrze odwróci skibę, nawet pokruszy ją dostatecznie, ale nigdy nie da odrazu ziemi należycie zwartej w warstwie dolnej, i dlatego to musimy oczekiwać „aż się ziemia uleży“. Dobrze przekopana rola odrazu na całej swej głębokości posiada jednakową budowę i jest gotowa do dalszej uprawy. Ażeby osiągnąć pożądany rezultat kopania, trzeba nietylko posiadać odpowiednie narzędzia, ale i zastanowić się trochę głębiej nad wykonywaną pracą, ponieważ wysiłek bezmyślny nigdy nie da korzyści, i tylko ręka, kierowana głową, może zdziałać dużo. Stan. Schönfeld.

## URZĄDZENIE KUCHNI NOWOCZESNEJ

*Przenumeracje z Zakopanego, Willa Sanato.*

Zorganizowanie i uproszczenie gospodarstwa domowego—to dziś dążenie wszystkich myślących, idących za postępem kobiet. Nieodzowne zajęcia kuchenne, absorbujące tak wiele czasu nietylko służącej, ale i kierującej nią—pani, o wiele są łatwiejsze i mniej męczące, jeżeli, urządzając kuchnię, postaraliśmy się o logiczne rozmieszczenie potrzebnych statków i przyrządów, tak aby w potrzebie mieć je blisko pod ręką. To ułatwia bardzo pracę, uważaną za ciężką i brudną, a przy dzisiejszych ulepszeniach tak minimalną, że gospodyni domu z łatwością sama podołać jej może.

Mamy trzy rodzaje kuchni do rozporządzenia. O tak zwanej „angielskiej”, ogrzewanej zapomocą węgla i drzewa, jako najmniej sympatycznej, nie będziemy tu wspominali. Znamy ją dobrze wraz z jej niedokładnościami. Wieje wiatr z północy—pod kuchnią palić się nie chce; przy południowym wietrze—dymi się zawzięcie—i tak ciągle, aż często doprawdy życie brzydnie; to też nic dziwnego, że kto może, stara się urządzić, zwłaszcza we własnym domu, kuchnię gazową, lub—szczyt wygody i wykwinu—elektryczną,

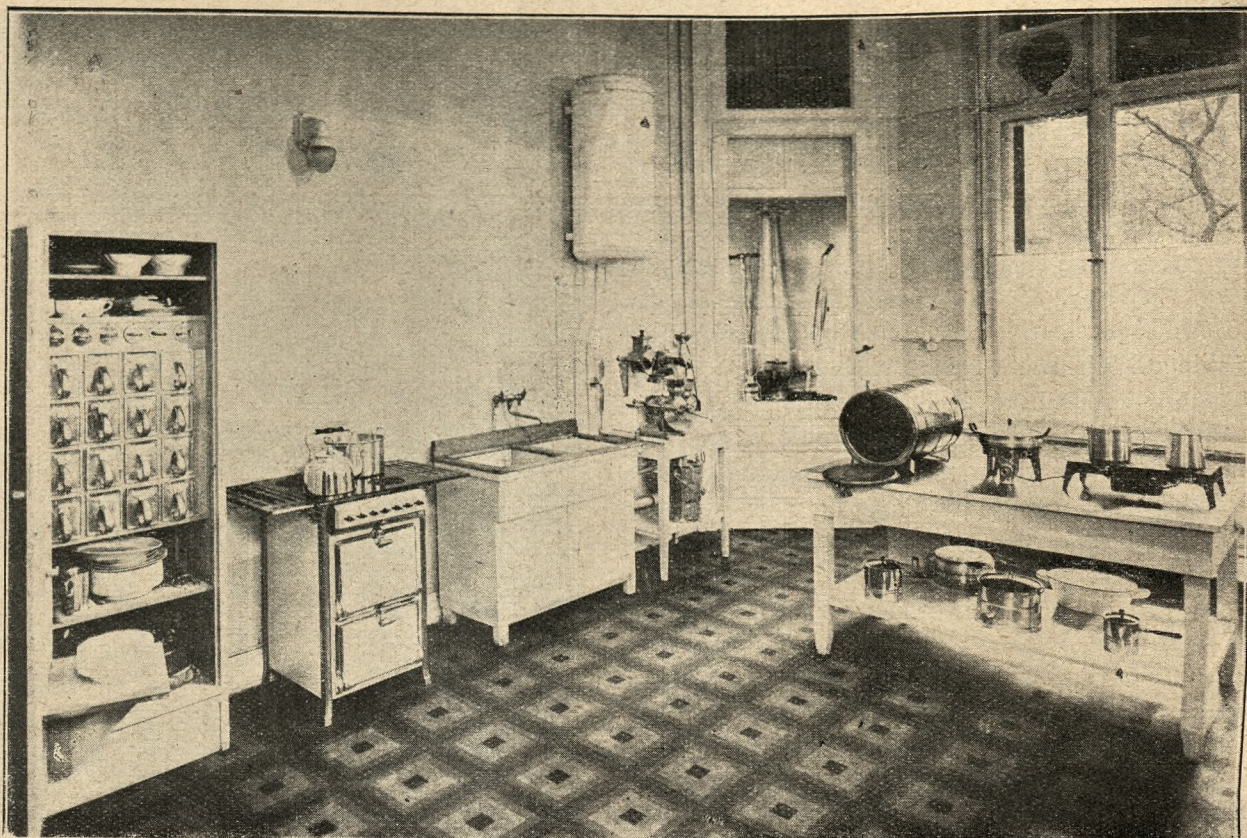


*Szafa do naczyń kuchennych*

która jednak ma dotąd wielką wadę: jest bardzo droga. Ponieważ inne jej zalety wynagradzają sobie wydatek na elektryczność, pomimo jej wysokiej ceny, coraz częściej spotykamy się z elektrycznymi kuchenkami. Tak na gazowej, jak i na elektrycznej—gotowanie, to przyjemna zabawka, tembardziej, że i staruki muszą być przystosowane do ślicznych kuchenek, zastępujących dawne czeluście piekielne. W pierwszej linii—niklowe, dalej aluminjowe, a w końcu emaljowane naczynia weszły na miejsce ciężkiej miedzi, którą tylko na wsiach spotyka się jeszcze. Doskonale obmyślony przyrząd pozwala gotować odrazu w czterech rondlach, ustawionych jeden na drugim, tak, że obiad, złożony z czterech dań, gotuje się równocześnie na jednej fajerce.

Czyż moglibyśmy wyobrazić sobie inaczej tego-czesną kuchnię, jak wyłożoną do połowy ścian porcelanowymi kaflami, które tak łatwo utrzymać w czystości, przecierając je codziennie wilgotną ściereczką? Podłoga, wyłożona również płytkami, nie potrzebuje nigdy „szorowania“, tem samem czystość, ten największy wykwin kuchenny, z łatwością jest utrzymywana. Nietylko pierwszorzędne materiały, użyte przy budowie, stanowią o dodatnich warunkach dzisiejszej kuchni. Inteligentny sposób ustawienia mebli, z których każdy jest użyteczny i koniecznie potrzebny, celowe ich rozmieszczenie—grają też poważną rolę. Elegancki mebel, na którym stanie maszynka gazowa lub elektryczna, powinien być umieszczony obok wodociągu, aby wodę, będącą pod ręką, można nabrać każdej



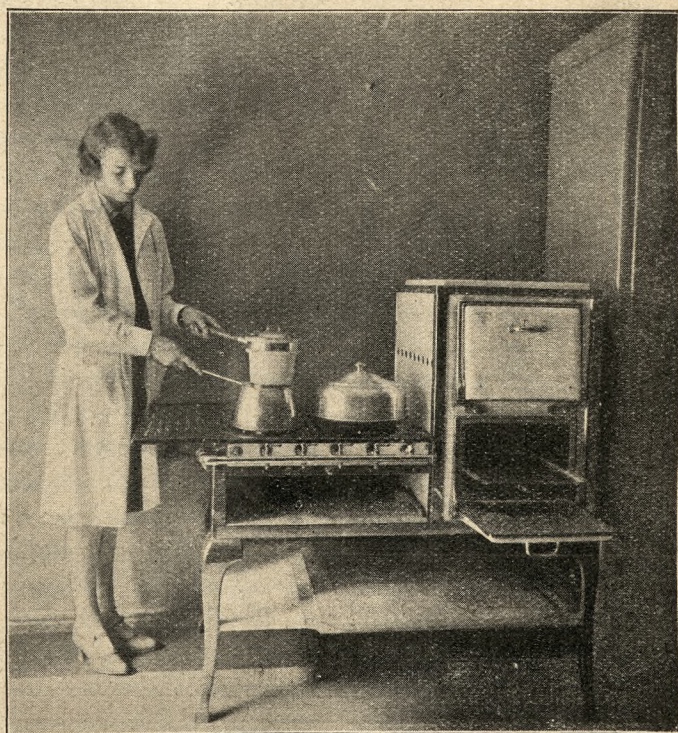


Kuchnia urządzona według nowoczesnych wymagań

chwili bez wysiłku. Do rondli, patelni, garnuszków, rozwieszonych w największym porządku zawsze na tem samym miejscu, nawet po ciemku trafić powinniśmy; szafę spiżarnianą, wzorowo zagospodarowaną, stawiamy w pobliżu. Każda skrytka, szufladka i półka ma w niej swoje przeznaczenie, oznaczone z zewnątrz odpowiednim napisem. Na produkty, potrzebujące chłodnego przechowania, mamy pod oknem schowanko, przez które przechodzi świeży pęd powietrza. Wszystko stoi i wisi w największym porządku, na zgóry obmyślonych miejscach, posegregowane, nieledwie zarejestrowane: wystarczy wyciągnąć rękę, aby zdjąć potrzebne naczynie.

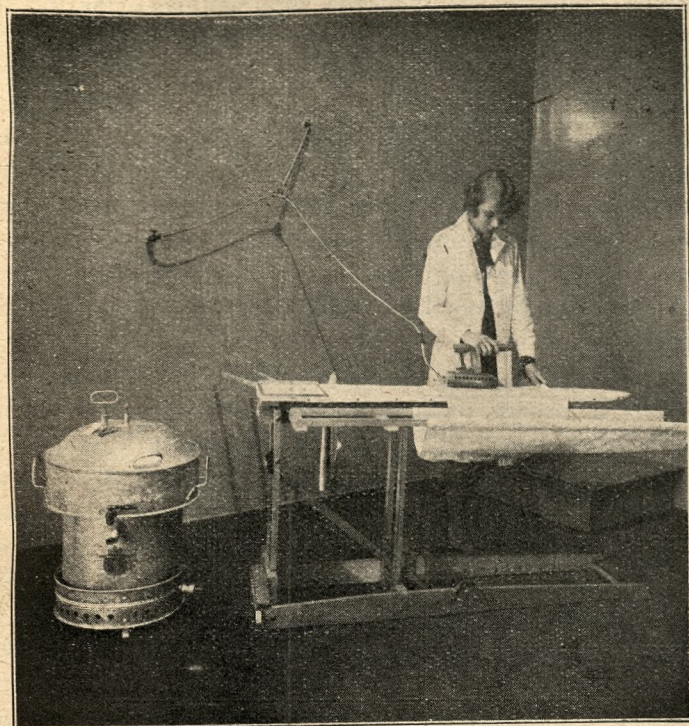
Nie marnuje się czasu tam, gdzie jest dokładnie obmyślony rozkład rzeczy i ruchów, gdzie nawet służąca, nieobdarzona pamięcią, trafi zawsze do wszystkiego z przywycza-

jenia. Naczynia kuchenne najwygodniej trzymać we wmurowanej w tym celu w ścianę szafie. Umalowana na kolor ściany, po zamknięciu stanowi jedną z nią całość. W Ameryce, gdzie praktyczność doszła do szczytu, widzimy takie same wgłębienia, wmurowane w ściany, zamykane na dzień, a w nocy stanowiące wygodne alkozy. Przy dzisiejszej ciasnocie, pomysł to bardzo cenny; nie uważam go jednak za zbyt sympatyczny, ani higieniczny i wspominam o nim jedynie z obowiązku notowania wszelkich nowych pomysłów. Piecyk do pieczenia ciasta, z dwiema kondygnacjami, z płytką na wierzchu; zmywalnia z wgłębieniami, wybitymi cynkową blachą, umieszczona pod kranem z ciepłą i zimną wodą; stoliczek z półką do przykręcania maszynek i młynków; kącik z elektryczną maszyną do wyrabiania sztucznego lodu, który wciągu pięć-



Gazowa kuchonka z piecami do pieczenia mięsa i ciasta





Nowoczesna deska do prasowania i kociołek gazowy do gotowania bielizny

nastu minut otrzymujemy — dopełniają wygody w tym ślicznym kąciuku, tegoczesną kuchnię zwanym. Mówiąc o wygodzie, trudno nie wspomnieć o urządzeniu prasowni elektrycznej: pomysłowa składana deska, z umocowaniem na prętach płótnem do usuwania bielizny w miarę prasowania, gazowe żelazko na długim sznurze, takież kociołek do gotowania bielizny na parze — ułatwiają znacznie tak męczące do niedawna pranie i prasowanie.

J. S.

## NA POSTNE TEMATY

Mam poważne wątpliwości, co do tego, czy post — w jego obecnej, powojennej formie — można uważać za umartwienie. Nietylko nabiał we wszystkich jego postaciach, lecz nawet i tłuszcze zwierzęce, a zatem szmalec i topiona słonina — są dozwolone. Jeżeli dodamy do tego wszelkiego rodzaju ryby: świeże, solone, wędzone i konserwowane — to postne jadłospisy będą znacznie bogatsze i bardziej urozmaicone od obecnie tak modnych, jarskich.

Z lat dzieciennych przypominam sobie, jak pościły nasze matki i babki, jak pościły różne starsze kuzynki, panny respektowe i inne, specjalnie praktykom religijnym oddane osoby, jak pościła cała służba — nie z nakazu, lecz z własnej, nieprzymuszonej woli. Panowie tylko zawsze lubili sobie nieco w poście popolgować, zawsze jednak wynajdując jakiś po temu pretekst i prosząc duchowną władzę o specjalną dys-

pensę. Bardziej religijni, okupywali prawo do befsztyka, lub sznycla jakimś innym umartwieniem, na przykład wyrzeczeniem się na czas postu wina lub cygar. Panie też, oprócz postu, obowiązującego co do jakości i ilości, dodawały, jako dobrowolną ofiarę wyrzeczenie się jakichś przysmaków: — cukierków, ciastek, czekolady, — w niedziele, zawsze wolne od postu — wędlin, ostrych serów i innych przekąsek. Spożywanie przy jednym posiłku mięsa i ryby — zresztą i dzisiaj przez kościół wzbronione — było niedopuszczalne. Conajmniej trzy dni w tygodniu, czyli środę, piątek i sobotę suszono, czyli nie używano nawet nabiału. Dla osób, nieznoszących oleju, a takich była większość, stanowi to skazywanie siebie na ogromnie ograniczoną ilość dań: ryby gotowane, bez sosów, conajwyżej z chrzanem lub musztardą, a jarzyny na wodzie z solą, kompoty owocowe i t. p.

Do herbaty, kawy czarnej i piwa grzanego z miodem używano czarnych, tak zwanych owsianych sucharów. Było to pieczywo niezbyt apetycznie wyglądające, lecz bardzo smakowite, robione nie z owsianej jednak, tylko z żytniej mąki z solą, kminkiem, czarnuszką. W każdym domu kresowym, czy to na wsi czy w mieście, przygotowywanie dużego zapasu takich sucharów zwiastowało zbliżenie się postu. Poza to robiono duże zapasy różnych marynat z ryb, gdyż w czasie samego postu kra na rzekach i jeziorach nie pozwalała ryb łowić, i całymi tygodniami bez świeżych ryb obywać się było trzeba. Oprócz marynat z ryb, szykowano nieskończone ilości rozmaicie marynowanych śledzi, od najdelikatniejszych, w czystej oliwie, dla państwa, do baryłek całych, zalewanych octem z cebulą, listkiem i pieprzem — dla służby. W wielu dworach było powiedziane przy rocznej umowie ze służbą folwarczną, że każdy osobnik na środy, piątki i soboty adwentu oraz wszystkie dni — oprócz niedzieli — Wielkiego Postu, wszystkie piątki i soboty roku całego ma otrzymywać całego śledzia, był to régime zachęcający.

Oprócz marynowanych śledzi, używano mnóstwo wędzonych, zwykle w domu fabrykowanych, gdyż świeżość jest ich kardynalną zaletą.

Grzyby suszone, kwaszone i marynowane, kiszzone ogórki i kapusta — składały się na niewyszukane, ale zupełnie dostateczne odżywianie służby, czeladzi a w dużej mierze i samych państwa. Niepoślednią rolę przytem odgrywały, dzisiaj zupełnie niespotykane, ryby suszone. Duże szczupaki, leszcze i t. p., solone i suszone na wietrze, przypominały smakiem i wyglądem również mało dziś znanego „sztokfisa“, a różne drobne rybki: płoteczki, okłonki, karasie i t. p., upieczone i ususzone w czasie obfitych połowów, były właściwie jadalne nie same przez się, lecz dawały tylko wyborny smak postnym barszczom i kapuśniakom.

Jeżeli pozwoliłam sobie odbiec tak daleko od czasów dzisiejszych, to tylko dlatego, że nawet przy ograniczonych dawniej jakościowo produktach post-



nych (ilościowo, jak to dawniej, rozporządzano ogromnymi ich zapasami)—post był nietylko możliwy, ale nawet niezbyt uciążliwy. Dzisiaj zaś, kiedy w Polsce mamy ogromną obfitość ryb rzecznych, jeziorowych i morskich, nietylko w stanie surowym, lecz i wędzonych, i w postaci rozmaitych gotowych krajowych konserw—ryb, które równie, jak mięso, są pożywne i wcale od niego nie droższe—niestosowanie się do przepisów Kościoła jest niczem niewytłumaczone. Nawet owa dyspensa, co do tłuszczów zwierzęcych, jest właściwie zupełnie zbyteczna, gdyż obok masła krowiego, wszędzie prawie dostać można masła roślinnego, według zdania powag lekarskich równie strawnego, masła kokosowego, wyborowego do smażenia ryb i ciast, oraz prawdziwej, francuskiej lub włoskiej oliwy, w cenie, mimo wysokiego cła, prawie masła nie przewyższającej.

Oliwa francuska, nieco od włoskiej droższa, jest lepiej oczyszczona i w użyciu wydatniejsza. I francuskiej oliwy są dwa gatunki: niedoświadczone gospodynie powinny dokładnie obejrzeć każdą kupowaną blaszankę, aby znaleźć miejsce jej fabrykacji. Oliwa nicejska jest znacznie lepsza, a co zatem idzie, i droższa, różnica powinna wynosić około 3 złotych na kilogramie. Sklepy spożywcze, licząc na ignorancję klientek, gatunek gorszy w cenie lepszego sprzedają. Nie chcę przez to powiedzieć, aby oliwa bordoska była zła, przeciwnie, do przyrządzania majonezów w niczem nicejskiej nie ustępuje, nawet prędzej przy ucieraniu gęstnieje. Aby uniknąć oszukaństwa, najlepiej oliwę kupować w oryginalnych kilowych lub pół kilowych blaszankach. Ma to jeszcze i tę dobrą stronę, że nie przelewana, dłużej nie gorzknie. Kupując oliwę na małe blaszanki lub na wagę, nigdy nie wiemy dokładnie, jaki gatunek kupujemy.

Do marynowania śledzi i smażenia ryb, przeznaczonych na zamarynowanie w occie, lub pomidorowym sosie, zupełnie wystarcza tak zwana oliwa amerykańska, czyli właściwie, olej orzechowy. W smaku wyborny, jednak, jak wszelkich olejów, nie znoszą go słabe żołądki. Poza rybami rynek nasz coraz lepiej jest zaopatrzony w jarzyny. Są one, niestety, wciąż za drogie, ale jest ich coraz więcej. Przez całą zimę, Warszawa przynajmniej, ma rozmaite zielone sałaty, endywię i roszponkę, cykorię francuską bieloną i nawet sałatę głowiastą. Wobec ogólnego pędu wprowadzania większej ilości witamin do naszego pożywienia—możność spożywania surowych sałat ma pierwszorzędne znaczenie. Spotykamy na rynku coraz więcej bulwy włoskiej, jarzyny, mogącej przez zimę całą zastąpić zbyt drogie w tej porze kalafjory. Karczochy i pomidory, z Włoch, a nawet z Afryki przywożone, są wprawdzie do nabycia w każdym niemal sklepie kolonialnym, nie mogą jednak sumiennie polecać ich kupowania, gdyż nietylko są bardzo kosztowne, lecz i nie godzi się, nawet mając duże środki, marnotrawić ich na produkty zagraniczne, kiedy

mamy biedę w kraju! Każda zapobiegliwa gospodyni mogła zaopatrzyć swą spiżarnię w konserwy jarzynowe, sterylizowane w aparacie Wecka; a jeśli o tem zapomniała, mamy już dziesiątki firm w Warszawie samej, w Poznańskim, w Małopolsce, w byłej Kongresówce, wyrabiających wyborne konserwy jarzynowe w szkłe i w blaszankach. Nasze matki i babki tego nie znały wcale i mogły urozmaicać swoje jadłospisy tylko jarzynami z piwnicy, lub z ciepłarni, a tych ostatnich nigdy nie było tyle, aby ogół mógł z nich korzystać.

Oprócz jarzyn, możemy w dużej ilości stosować susz i konserwy owocowe. Co do suszu, to nie mamy wprawdzie moreli, brzoskwiń i gruszek tak wspaniałych, jak kalifornijskie, lecz jabłka nasze i śliwki, suszone według najnowszych metod, nie ustępują w niczem zagranicznym i są o połowę tańsze. Jeżeli dodać do tego produkty mączne, strączkowe, grzyby we wszelkich postaciach, jaja, które w tym roku, dzięki niskim cenom na nie zagranicą, wcześniej tanieć zaczęły, coraz większą ilość sera, śmietany i innego nabiału,—to post chyba jest tak łatwy, że każdy go, chociażby ze względu na zdrowie, obserwować może i powinien.

Kiedy piszę o nabiale, muszę zawsze zrobić pewne zastrzeżenia. Ile razy wracam z prowincji do Warszawy, tyle razy widzę olbrzymią różnicę w mleku, śmietanie i śmietance—tam i u nas. Nie wiem, czemu to mam przypisać: czy niesumienności dostawców i pośredników, czy brakowi odpowiedniego nadzoru władz sanitarnych, lecz twierdzę, że za wyjątkiem masła, które ostatnimi laty stało na wysokim poziomie, inne produkty mleczarskie, sprzedawane w stolicy, bardzo i to bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Panie ze wsil! pomyślcie o nas i przysyłajcie nam lepsze towary, a władze sanitarne niech nas strzegą od zbyt częstych i bezczelnych falsyfikatów!

Pani Elżbieta.

PRAKTYCZNE I OSZCZĘDNE GOSPODYNIE NIECHAJ  
PAMIĘTAJĄ, ŻE WOBEC ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ  
ŚWIĄT TRZEBA KONIECZNIE  
NABYĆ KSIĄŻECZKI  
P. T.

## „CIASTA WIELKANOCNE“ I „PISANKI“

które uczą smacznego i oszczędnego przygotowania babek, placków i mazurków i dają sposoby kraszenia jajek wielkanocnych.

**Cena każdej książeczki 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.**

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99,  
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.  
K. O. T-wa Wyd. „Bluszcz“ Nr. 13.555.





### SZYNKA PIECZONA

Szynkę z młodej sztuki, o niezbyt grubej słoninie, mało wędzoną, lub saletrowaną tylko, wymoczyć przez dwadzieścia cztery godziny w zimnej wodzie. Po wyjęciu, obetrzeć płótnem, oskrobać nożem, aby skóra i mięso były zupełnie czyste. Na pięciokilową szyneczkę zagnieść ciasto z półtora kilo żytniej, razowej mąki z taką ilością letniej wody, aby po doskonałym wyrobieniu można je było rozwałkować na grubość pół palca. Brytfannę lekko posmarować tłuszczem, rozłożyć na niej ciasto, w środek położyć szynkę, ciasto zawinąć do góry i oblepić niem tak szczelnie i dokładnie szynkę, aby nie pozostało najmniejszej szpary, przez którą tłuszcz, lub sok mięsny mogłyby się wysączyć. Maczać ręce w wodzie i gładzić ze wszech stron ciasto, aby powierzchnia jego była zupełnie gładka, poczem wsadzić na dwie i pół do trzech godzin w dobrze gorący piec. Po wyjęciu z pieca dać kwadrans postać w cieście, poczem ciasto zdjąć, szynkę przełożyć na półmisek i wynieść natychmiast na chłód, aby raptownie ostygła. Przed postawieniem na stół wielkanocny skórę zgrabnie podkrawać, podwinąć w rulonik aż do kolanka, przypiąć niewidocznymi patyczkami, różową słoninkę naszpikować w odstępach goździkami, a kość ładnie owinąć fryzowanym papierem. Nigdy gotowana szynka nie może być tak krucha, jak upieczona w taki sposób.

### CIEŁĘCINA SALETROWANA

Na tydzień przed Świątami Wielkiejnocy wybrać ładną, mięsistą ćwiartkę cielęciny. Forszlak z nerką i kość goleniową odrąbać, pierwszy użyć na pieczone, drugi — na cytrynową lub szczawiową zupę. Garść prażonej soli zmieszać z łyżeczką saletry, utłuczonym pieprzem, zielem, listkiem, paru goździkami, rozmarynem i majerankiem. Nacierać mocno tem wszystkim pieczeń ze wszystkich stron. Pozostawić na noc w ciepłe (w misce, wannie, lub innym gębłokiem naczyniu). Nazajutrz, gdy sos z siebie puści, przewrócić na drugą stronę i trzymać jeszcze 24 godziny w pokoju. Posolić wodę mocno, zalać nią pieczeń, przycisnąć denkiem i kamieniem, aby rosół miała na wierzchu, i wynieść na chłód. Przed pieczeniem namoczyć na dwanaście godzin w czystej, zimnej wodzie; po wyjęciu z niej, naszpikować gęsto słoninką, posmarować masłem lub szmalcem i piec, jak zwykłą pieczeń, w piecu lub pod blachą. Na dopieczeniu posypać grubo tartą bułeczką, polać ją sosem i zrumienić dobrze. Zimna taka pieczeń w smaku przypomina bardzo delikatną szynkę. Kto lubi zapach wędliny, może ją dać przed użyciem obwędzić przez godzin parę, nie jest to jednak konieczne: wystarczy gęsto naszpikowanie wędzoną słoninką.

### GALANTYNA Z PULARDY

Pularde, kapłona lub wprost dużą, młodą, tłustą kurę rozciąć wzdłuż przez grzbiet i po uprzednim odcięciu głowy z szyją, skrzydeł do pierwszego stawu i nóżek po kolanka — wyjąć z niej wszystkie kości, nie naruszając nigdzie mięsa przy skórcie. Tymczasem zemleć na maszynie pół kilo ładnej, białej cielęciny, i ćwierć kilo młodej słoniny, dodać do tego cztery bułeczki, otarte ze skórki, wymoczone i wyciśnięte i duże jajko, lub dwa małe. Zmieszać doskonale, osolić, dodać odrobinę kwiatu muskatołowego. Przygotować dwa jaja na twardo ugotowane, kilka plasterków szynki lub ozora, wątrobę z kury, pokrajana w paski, parę zielonych korniszonów. Zaszyć starannie otworki po odciętych skrzydłach i nóżkach, rozłożyć kurę na stolnicy. Układać warstwami farsz, przekładając jajami, szynką i t. d. Gdy wszystko wyjdzie, zaszyć ładnie galantynę, zawinąć w czyste płótno, osznurować, aby nie pękła, i gotować wraz z drobkami, kośćmi i włoszczyzną około półtorej, do dwóch godzin. Po wyjęciu, część rosółu użyć na zupę, którą zasypać ryżem i podać wraz z drobkami. Parę szklanek rosółu sklarować białkiem, zakolorować karmelem na jasno-żółty kolor, dodać ze 6 do 8 listków żelatyny i zastudzić w miseczce na twardą galarete. Galantynę rozsznurować, zawinąć znowu w płótno; gdy nawpół ostygnie, przyłożyć deseczką i przycisnąć ciężarkiem, aby się nieco spłaszczyła. Krawać w cienkie plastry, posypać posiekaną galaretką i podawać z majonezowym sosem.

### SOS Z ORZECHAMI DO ZIMNYCH MIĘS

Łyżkę angielskiej lub francuskiej musztardy utrzeć z trzema żółtkami z jaj na twardo ugotowanych, wlać dwie łyżki octu lub sok z całej cytryny. Zasmażyć niedużą łyżkę mąki z łyżką masła, rozebrać rosółem lub wodą do gęstości zawiesistego sosu; dodać tę zaprażkę do sosu, ucierać wszystko razem, dodając po trochu dziesięć deka najlepszej oliwy. Gdy się wszystko utrze i zmasuje, wsypać łyżkę cukru, łyżeczkę soli, piętnaście orzechów włoskich, oczyszczonych z łupin i jaknajdrobniej utłuczonych, i ucierać jeszcze razem dobry kwadrans. Nakoniec dodać do smaku soku cytrynowego lub dobrego, winnego octu i przełożyć do sosjerek. Sos, robiony z dodatkiem zaprażki mącznej, nigdy się nie zwarzy. Sos ten specjalnie jest dobry do białych mięs: indyka cielęciny, schabu i t. p.

Pani Elżbieta.

### LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem” tłusty i suchy. „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”. Krem cytrynowy. Krem poziomkowy. Galaretka na rozszerzenia porów i łojotok. Perelki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.



## DOBRE RADY

Wszystkie przedmioty, należące do eleganckiej kobiety, powinny mieć jeden zapach. Papier listowy przekłada się kawałkami grubej, bezbarwnej bibuły, mocno skropionej ulubionym zapachem jego właścicielki. Jeżeli pudełko jest szczelnie zamknięte, papier długi czas pachnieć będzie.

\* \* \*

Dla nadania bieliźnie miłego zapachu, przekładamy ją woreczkami z lawendą; suknie wieszamy na wieszadłkach, do których przyczepiamy w środku wonne saszetki. Dobrze jest również wszyć pod pachami i w dole sukienki cienkie, uperfumowane poduszeczki.

## KORESPONDENCJE

Pani I. R. z Zamojskiego. Korale są bardzo modne. Prawdziwe od fałszywych łatwo odróżnić po wadze: prawdziwe są ciężkie — wszelkie imitacje — bardzo lekkie. Kolorem również się różnią.

Portjery aplikowane trzeba podszyc satyną, a figury obdzierać rzadko wełną — o ile portjery są sukienne. Do płóciennych — trzeba użyć bawełny płaskiej, kolorowej D.M.C. Jeżeli tło delikatne, a na aplikacje użyto kawałków jedwabnych lub aksamitnych, można przydziierać naturalnym jedwabiem „filoflos”. Motywy „Tenerif” nadają się doskonale do inkrustowania (wszywania) serwet, o jakiej Sz. Pani wspomina.

Pani J. W. — Toruń. Kołnierzy i mankiety fokowe — najprawdopodobniej zatłuszczone, trzeba oczyścić benzyną, trąc ostrożnie miejsce przy miejscu, póki futro zupełnie czyste nie będzie; następnie wycesać ostrożnie czystym grzebieniem i wygładzić miękką szczotką. Podszewkę w torebce spróbować czyścić również benzyną. Żadna większa firma skórzano-galanteryjna nie podejmie się tak bagatelnej roboty; może samej będzie można coś na to poradzić. W przeciwnym wypadku niech Sz. Pani zwróci się do firmy Br. Neumann (Warszawa, Bielańska № 8).

Pani M. W. — Kunów. Wełny dostanie Sz. Pani w firmie Filiński i Wegenko (Warszawa, Marszałkowska 153), kanwy i wzory — w firmie Rozmanit (ul. Ossolińskich Nr. 8).

Pani M. K. — Lubich. Podpuszczki naturalnej w proszku dostanie Sz. Pani w firmie L. Spiess (Warszawa, Plac Teatralny Nr. 18). Mniejsze pudełko kosztuje 4 zł. 90 gr., — większe 9 zł. 80 gr.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Biednej Babie. Na listy anonimowe nie odpowiadamy.

Stałej czytelniczce — Nieiwięz. Oczy podpuchnięte mogą mieć przyczynę w chorobie wewnętrznej. Należy udać się jak najszybciej do lekarza, by nie zaniedbać poważnego schorzenia. Bardzo często t. zw. worki pod oczami nie mają nic wspólnego z leczeniem kosmetycznym.

Barbarze Radz. Odpowiedzi od Redakcji proszę czytać w „Kulturze Ciała” — miesięczniku, wychodzącym jako dodatek do „Bluszczu”, oraz osobno — w cenie 50 gr. Może Pani znaleźć tam odpowiedź na swoje dolegliwości.

Ciekawej. Obecny szyk mody — to maska kosmetyczna. Stosuje się przy łojotoku, krostach, rozszerzonych porach, chropowatości cery, zmarszczkach i innych defektach skóry. Zależnie od rodzaju skóry — zmieniamy środki, wchodzące w skład maski. Prócz tego stosuje się maski odmładzające. Przeczytać o maskach w kwietniowym numerze „Kultury Ciała”.

„Instytut Naukowej Organizacji” urządza od dn. 24 do 31 marca włącznie, cykl wykładów z dziedziny organizacji gospodarstwa domowego, obejmujący 14 godzin. Wykłady odbywać się będą codziennie od godz. 18 do 20-ej, w lokalu Instytutu Naukowej Organizacji, Mokotowska 51/53.

Wykłady mają na celu:

1. Zapoznanie pań domu z nowoczesnymi metodami i ulepszonymi sposobami pracy w gospodarstwie domowym.
2. Zaznajomienie z przyrządami i urządzeniami, ułatwiającymi wykonywanie codziennych zajęć domowych.
3. Wskazanie racjonalnych metod organizacji domu.

Bliższych informacji udziela Instytut Naukowej Organizacji, Mokotowska 51/53, od godz. 9 do 15-ej. Tel. 38-13.

## „100 potraw z jaj“

PRZEPISY POTRAW Z JAJ, TAK BARDZO  
CENNE DLA GOSPODYŃ W OKRESIE POSTU

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## „Czyszczenie plam“

SPOSOBY WYWABIANIA PLAM  
Z WSZELKICH MATERJAŁÓW

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.